

LUBLIN

15.IV.1964

Nr 7 (293)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

# KAMIEŃ KAMIEŃ

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

### Przed IV Zjazdem PARTII

ROMAN ROSIAK

Mózg klasy,  
sprawa klasy,  
siła klasy,  
chluba klasy —  
oto czym jest partia.

**D**ZISIAJ, po czterdziestu latach od chwili, gdy płomienny piewca radzieckiej rewolucji, Włodzimierz Majakowski, żegnając Lenina formułował sąd o partii, słowa jego wydają się jeszcze bardziej trafne i precyzyjne niż wówczas. Co więcej — dadzą się z łatwością zastosować nie tylko do KPZR, ale i do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Historia PZPR — to, historia narodu polskiego. Narodziny Partii przypadają na najtrudniejszy okres w dziejach Polski — powstała ona w czasie niewoli, by mobilizować naród do walki z okupantem, tworzyć i cementować front ogólnonarodowy, przygotowywać społeczeństwo do nowego ustroju. Partia stanęła na czele narodu i poprowadziła go do zwycięstwa.

Z raz zajętego stanowiska nie mogła i nie chciała się już wycofać. Jej rola nie skończyła się na odzyskaniu niepodległości, wprost przeciwnie — Partia stanęła wobec nowych, jeszcze poważniejszych i rozleglejszych zadań. Trzeba było doprowadzić do zjednoczenia wszystkich postępowych sił w kraju, do gigantycznych reform społecznych w zakresie rolnictwa i przemysłu, budowania fundamentów władzy ludowej, opracowania planu odbudowy zniszczonej wojennych. A potem przyszły dalsze trudy i zadania: realizacja kolejnych planów gospodarczych, zmierzających do przekształcenia Polski w kraj przemysłowo-rolniczy, do podniesienia stopy życiowej, rozbudowy wszystkich działów produkcji narodowej, upowszechnienia nauki i oświaty oraz kultury, likwidacji wielowiekowych zaniedbań i zacofania.

Wraz z budową nowej Polski rozpoczęła Partia poważne dzieło wychowywania i przygotowywania społeczeństwa do nowych zadań. Współzawodnictwo pracy, ruch racjonalizatorski, wyrabianie nawyku poszanowania własności społecznej, coraz poważniejszy udział mas w rządzeniu państwem — oto tylko niektóre z problemów, jakie inicjowała Partia.

Rola Partii nie ograniczała się tylko do kierowania polityką, wewnętrzną Polski. Im bliżej naszych dni, tym mocniej i wyraźniej włączał się nasz kraj do walki o zagwarantowanie pokoju światowego, nawiązywał liczne kontakty zagraniczne, zacieśniał współpracę z krajami obozu socjalizmu, umacniał i podnosił swój autorytet na arenie międzynarodowej.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat PZPR była jednocześnie nauczycielem i uczniem społeczeństwa polskiego. Wskazywała masom drogę, prowadziła je, była ich głosem, ale korzystała z każdej okazji, by słuchać ich zdania,



### 400 LAT TEMU W DNIU 23 KWIEŃNIA URODZIŁ SIĘ WILLIAM SHAKESPEARE

wykorzystywać doświadczenia i rady. Dyskusja: Partia — naród trwa i trwać będzie nadal. Przebyte lata są świadectwem, że obie strony mają sobie wiele do powiedzenia i do zadziwiania. W walce i pracy narodziło się wzajemne zrozumienie, szacunek i zaufanie, a nawet przywiązanie i miłość.

Gdy dziś stajemy w obliczu zbliżającego się IV Zjazdu PZPR — widzimy w tym wydarzeniu nie tylko aspekt wewnątrzpartyjny. To jest nasza Partia i jej problemy są naszymi problemami, problemami całego narodu polskiego. Podsumowanie dorobku Partii za miniony okres będzie jednocześnie przeglądem osiągnięć naszego kraju w dziedzinie budownictwa socjalistycznego, będzie ilustracją tego, czego dokonaliśmy we wszystkich dziedzinach naszego życia pod przewodnictwem Partii.

Tow. Wiesław Gomułka na XV Plenum KC PZPR powiedział m. in.:

„Dobra jest nasza partia, Towarzysze. Ale jaka by nie była, musimy ją stale ulepszać. Mamy prawdziwie wielkie osiągnięcia. Któż z nas mógł marzyć przed 20 laty, kiedy to wszystko leżało w gruzach, że my 20-lecie Polski Ludowej będziemy obchodzić posiadając 10-krotnie większy potencjał

produkcyjny w przeliczeniu na głowę mieszkańca, aniżeli w 1938 roku. Któż by w to wówczas uwierzył. Jesteśmy zadowoleni z osiągnięć, ale czy możemy ręce założyć? Nie możemy!

Narastają nowe zadania. Narastają przed nami, jako kierownictwem partii, przed rządem, przed władzą ludową — przed całą partią, przed wszystkimi jej ogniwami, przed każdym jej członkiem. I my te nowe zadania wykonamy”.

Przygotowane przez Komitet Centralny tezy na IV Zjazd Partii zestawiają bilans dwóch dwudziestolecia — lat 1918—1939 oraz 1944—1964. Trudno nawet kusić się o wymienienie wszystkich najważniejszych zdobyczy Polski Ludowej, ale takie fakty, jak dziesięciokrotny wzrost przemysłu w przeliczeniu na jednego mieszkańca (porównując lata 1938 i 1963), trzykrotnie większy dochód narodowy i inne cyfry mówią wyraźnie o ogromnym skoku, jaki dokonał nasz kraj po wojnie.

Tezy wytyczają w oparciu o dotychczasowe osiągnięcia kierunek rozwoju gospodarczego Polski w latach 1966—1970. W tym czasie około półtora miliona ludzi znajdzie pracę w nowych

(Dokończenie na str. 2)

### PRZYŁĄDEK DOBREJ NADZIEI

LESZEK GOLIŃSKI

**D**O Białegostoku po raz drugi zawitał Marino Marini. Uśmiecha się z szyby wystawowej, gryzie w zamyśleniu ołówkę, Marino Marini, któremu w Katowicach ofiarowano ongi lwa, nie licząc serc pensjonarskich. Gdzie ten szal, który towarzyszył mu przy pierwszej wizycie? Panienci z wydziału kultury w Suwałkach wdychają co prawda, aby w te pierwsze dni kwietnia dostać delegację do Białegostoku, ale to są Suwałki. Być może, nie ta już moda, nie te czasy: bo przecież niedawno grał tu Witold Małcużyński i obiecał solennie wrócić wraz z żoną, aby nie tylko zobaczyć autentyczne żubry, ale aby jeszcze raz odetchnąć serdecznością sali. Przecież grała tu znakomita Kyoko Tanaka. Przedstawiciel wrocławskiej estrady długo sumituje się w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, aby pozwolono mu wystąpić na terenie Białostoczczyzny. Urzędnik, który z nim rozmawia wietrzy chaturę, obawia się szmiry. Nie te czasy, kiedy ten piękny zakątek Polski był Eldoradem dla zgasyłych gwiazd i uzurpatorskich geniuszy. Awans kulturalny? Być może. Idźmy w każdym razie tym szlakiem.

W kawiarni Międzynarodowego Klubu Prasy i Książki rodzą się ploteczki. Na widok obcej twarzy głosy cichną, ale i tak można to i owo wyłowić. Więc, że dyrektor teatru im. Węgierki, który uzdrowił nieco atmosferę, panującą na tej scenie, nosi się z zamiarem odejścia. Więc, że aktor w Białymstoku nie ma żadnych szans, aby się wybić, aby polepszyć swoje warunki materialne, przy tym Warszawa uważana bywa za szczyt kariery, Warszawa za swoimi setkami bezrobotnych aktorów, ale też mirażami telewizji, radia, estrady i okolicznościowych akademii. Więc, że telewizja białostocka (istniejąca od przeszło roku w sensie funkcjonowania własnego nadajnika) boi się wystąpić z chociażby kilkuminutowym własnym programem i ogranicza się do własnego sygnału tudzież planszy „przemysłowej”. O tej telewizji warto zresztą kilka słów więcej powiedzieć, jest bowiem synonimem białostockich przemian kulturalnych, a my lubimy porządkować nowości kwiatem.

Kot w rękawiczkach nie potrafi łowić myszy. Krąży po Białymstoku anegdota, że podobno najwyższe czynniki w Warszawie dowiedziały się o istnieniu telewizji białostockiej — z prasy, albowiem wyskoczyła ona wbrew wszelkim planom i projektom. „Drapieżność” białostockich ludzi z radia i telewizji potrafi się podobać: to ten sam rys, który obserwuje w Lublinie, odnotowuje w dalekim Szczecinie, czy Jeleniej Górze. Samodzielność. Swoisty patriotyzm, który każe przekreślać plany i podważać mądrość „odgórných” projektów. Bunt

(Dokończenie na str. 6)



# Nie ma granic w naszym ruchu

BOLESŁAW  
BARTOSZEWICZ

**S**TARY Sylwester, bohater dawnej opowieści z życia kupców, na szyldzie zawieszonym nad wejściem do swego sklepu umieścił był jedno tylko słowo: „żywność”. W sklepie tym jednakoż można było kupić nie tylko bułki czy kiszoną kapustę, lecz również nici, zeszyty i w ogóle mnóstwo artykułów pierwszej potrzeby. Kiedy Sylwester pytano, dlaczego szyld wprowadza ludzi w błąd, odpowiadał: „Mój szyld wprowadza w błąd? Jest tu żywność? Jest. Więc o co chodzi? A że jest coś jeszcze innego, to chyba tym lepiej”.

Oczywiście przyznawano rację staremu Sylwestrowi. I słusznie.

Przypomniała mi się ta opowieść kupiecka, gdy porządkowałem w swoim notesie zapiski poczynione ostatnio przy okazji odwiedzin wiejskich amatorskich zespołów teatralnych. Rzecz bowiem polega na tym, że coraz więcej tych środowisk — w różnych częściach naszego kraju — zajmuje się nie tylko przygotowywaniem kolejnych premier na świetlicowych scenach. Nie tylko robią tzw. „teatr w wykonaniu artystów-amatorów”, lecz pracę tę traktują jako pretekst do podejmowania znacznie szerszej działalności inicjatyw, dla przedsięwzięć typu ogólnokulturalnego i w ogóle zmierzających do rozwoju całokształtu życia w swoich wsiach. Do wniosku takiego można dzisiaj dojść w Białostocczyźnie na brzegu rzeki Bug, w Konopnicy na ziemi łódzkiej, we wsiach Rzeszowszczyzny, Dolnego Śląska czy Ziemi Lubuskiej. Wszędzie tam z inicjatyw amatorskich zespołów teatralnych założono światła elektryczne, pobudowano świetlice i kluby, a nawet domy kultury, adaptując na te cele komórki, stodoły, itd. W Ostroszowicach w powiecie Dzierżoniów sala teatralna przerobiona ze stodoły niczym nie ustępuje niejednej sali w powiatowym, a nawet w wojewódzkim domu kultury.

Z inicjatyw amatorskich zespołów teatralnych i ich kierowników ludzie opodatkowują się dla własnego współ-

nego dobra, nie czekają na pieniądze z państwowej kieszki. Chodzą bowiem o to, że ludzie — skoro już postanowili schodzić się na wspólne rozmowy, na dyskusje o sztuce, skoro postanowili stać się artystami amatorami — chcą przede wszystkim stworzyć jak najlepszą nowoczesną bazę techniczno-materiałową dla tej swojej pożytecznej pracy. I to jest siła amatorskiego ruchu teatralnego, który zrozumiał, że jeśli ma odegrać prawdziwie pożyteczną i przy tym nowoczesną rolę we współczesnym życiu wsi, musi wyjść poza tradycyjnie nakreślone granice.

Możemy więc bez przesady powiedzieć, że znaczna liczba wiejskich zespołów teatralnych stanowi dzisiaj liczącą się pozycję w społecznym ruchu kulturalnym w ogóle i jeśli mówimy o tym, że rozwijają się u nas tw. czyny społeczne, że społecznie buduje się placówki kulturalne, drogi, bity, a nawet ośrodki zdrowia na wsi, to zupełnie określone i niezaprzeczalne miejsce zajmuje tutaj amatorski ruch teatralny. Właśnie we wsi Konopnica w województwie łódzkim — powstał z inicjatywy amatorskiego ruchu teatralnego taki piękny i nowoczesny ośrodek zdrowia.

Amatorskie zespoły teatralne nie oczekują żadnej pomocy w tej swojej działalności społecznej. W owym budowaniu materialnej i technicznej bazy dla rozwoju kulturalnego wsi, i to jest zresztą ich autentyczna siła, gwarantująca im działalność nie tylko dzisiaj, lecz również jutro i pojutrze. Jednakże cokolwiek byśmy dobrego o tym powiedzieli, jedno pozostaje faktem: rzecz dotyczy zespołów artystycznych. Powstaje więc pytanie: czy owa działalność nad budowaniem bazy, nie łącząca się bezpośrednio z działalnością typu imprezowo-artystycznego, nie odciąga zespołów od ich pracy artystycznej, od przygotowywania przedstawień na świetlicowej scenie? Czy zespoły mogą pracować nad podnoszeniem swego poziomu artystycznego, czy kształcą się ideowo? Czy dbają o swój repertuar? Widziałem ostatnio kilka amatorskich przedstawień w wykonaniu owych społecznie zaangażowanych zespołów. Czy to chodziło o inscenizowanie prozy Sienkiewicza i Zeromskiego, czy o znany utwór Sewera pt. „Marcin Luba”, czy też o współczesne jednoaktówki — zawsze przedstawienia te świadczyły, że w parze z działalnością społeczno-kulturalną idzie artystyczna ambicja zespołu. Zespoły ruchliwe i ambitne dbają o dobór kostiumów, starają się o to, by ich spektakle miały jak najlepszy kształt sceniczny, pracują nawet — co już jest bardzo trudne w amatorskich warunkach — nad dobrą dykcją. Kierownicy zespołów — przeważnie zresztą miejscowi nauczyciele, od lat znani ze swojej pasji czynów — zasłużyli na wielką pochwałę. Ludzie, którzy należą do kierowanych przez

nich zespołów, zmienili się, ogładzili, są dziś za pan brat z literaturą.

Równocześnie jednak jest i inna prawda. Zespoły o których wspominałem, niestety wielu problemów związanych z kształtem przedstawień same nie rozwiążą. O ile w działalności społecznej zespoły teatralne nie potrzebują żadnej pomocy z zewnątrz — chyba że pomocy pieniężnej dla szybszej realizacji swoich planów — o tyle w swej pracy artystycznej bez pomocy takiej obejść się nie mogą. Mimo wzruszających osiągnięć, mimo usilnych prób własnych.

Warto o tych sprawach mówić szczególnie teraz, niejako w przededniu krajowego zjazdu Związku Teatrów Amatorskich. Organizacja ta nie zawsze potrafi dotrzeć do poszczególnych zespołów, nie zawsze służy im efektywną pomocą. Nie o to mi oczywiście chodzi, by przedstawiciele Związku Teatrów Amatorskich jeździli do każdego zespołu i instruowali artystów-amatorów. Konieczne jednak jest stworzenie takiej sieci przedstawicielstw ZTA w terenie, by poszczególne zespoły artystyczne zawsze się mogły do swojej organizacji zwrócić z prośbą o pomoc artystyczną, o poradę repertuarową, o konsultację. Oto np. w województwie wrocławskim, gdzie jest coraz więcej ambitnych zespołów teatralnych, wojewódzki oddział ZTA — praktycznie rzecz biorąc — nie istnieje, gdyż nikt nie odczuwa jego działalności. Na Kielecczyźnie Związek Teatrów Amatorskich nie bardzo się nawet orientuje, ile w tym województwie faktycznie działa zespołów.

Jest jednakże również prawdą, że Związek Teatrów Amatorskich — zwłaszcza w terenie — napotyka, jak dotychczas, na mur obojętności ze strony różnych organizacji i instytucji, które poszczególnymi zespołami teatralnymi opiekują się w sensie organizacyjnym. Jednostek tych jest wiele. Wymienimy choćby Związek Młodzieży Wiejskiej, spółdzielczość, towarzystwa regionalne. Opiekując się organizacyjnie — nie zawsze opiekują się one merytorycznie. Nie zawsze to przecież potrafią. I właśnie współpraca ze Związkiem Teatrów Amatorskich mogłaby zmienić istniejący stan rzeczy. Wydaje mi się, że dojrzała potrzeba wynalezienia jakichś form współpracy wszystkich tych organizacji i instytucji ze Związkiem Teatrów Amatorskich. Chodzi o współpracę w zakresie poszukiwania metod i kierunków najskuteczniejszej pomocy dla amatorskiego ruchu artystycznego.

Ruch ten oczekuje również pomocy merytorycznej ze strony tych, którzy — wydawałoby się — bez nawoływania do nieniesienia jej są jak najbardziej predestynowani. Myślę o pisarzach dramaturgach, tych zwłaszcza, których sztuki grane są na wiejskich świetlicowych scenach. W każdym zespole snuje się ciche marzenie, że

któregoś dnia zawita do wsi — na serdeczne zaproszenie własnych scenicznych postaci, z zapalem interpretowanych przez miejscowych amatorów — ten czy ów autor. Ale na mierzaniu kończy się z reguły. Zaproszenia zespołów wiejskich są najczęściej bagatelizowane. Opowiadano mi np., jak to się wiesz po wysłaniu takiego zaproszenia przygotowuje na przyjęcie zacnego gościa, brak odpowiedzi uważając za zgodę na przyjazd — i jakie następuje bolesne rozczarowanie, gdy oczekiwany pisarz nie przyjeżdża. Gdy okazuje się, że całe to zaproszenie najwyżej w świetle się zlekceważyło.

Sprawa jest zaskakująca. Odbijają się w Polsce od lat liczne spotkania pisarzy z czytelnikami. Wiadomo o nich w miastach, miasteczkach, a nawet i na wsi. Wszędzie tam wyjeżdżają ludzie o sławnych nazwiskach, występują wobec czytelników swoich książek, mówią o własnej twórczości i w ogóle o literaturze. Nie wyjeżdżają tylko pisarze-dramaturdzy do amatorskich zespołów teatralnych, które z taką starannością przygotowują kształt sceniczny ich utworów. Oczywiście, zespoły te nie mają najczęściej funduszu na zapłacenie honorarium pisarzowi za spotkanie, ale przecież żaden pisarz nie miałby o to pretensji. Dlaczego więc jest tak, jak jest?

O zmianę istniejącego stanu rzeczy mogłby pokusić się właśnie Związek Teatrów Amatorskich. Mogłby wystąpić do Związku Literatów Polskich z prośbą o zwrócenie uwagi jego członkom, że są naprawdę szczerze i serdecznie oczekiwani każdorazowo przez zespoły amatorskie, dla których słowo pisarza byłoby nie tylko kurtuazyjną zachętą do dalszej pracy, lecz przede wszystkim konkretną merytoryczną pomocą. Dziś, kiedy między Związkiem Literatów Polskich a Centralną Radą Związków Zawodowych zaczęła obowiązywać umowa, na podstawie której zwiększy się jeszcze bardziej liczba wieczorów autorskich w środowiskach robotniczych, między pisarzami-dramaturgami granymi na wiejskich świetlicowych scenach a Związkiem Teatrów Amatorskich i w ogóle całym tym ruchem winien zapanować przynajmniej gentlemen agreement.

Myślę zresztą, że jeśli spotkanie pisarza z zespołem amatorskim zawierać będzie w swoim programie specjalną pogadankę, oczekiwany gość mógłby otrzymać należne honorarium. Pieniądze na ten cel zdołają chyba zapewnić owe liczne organizacje i instytucje opiekujące się organizacyjnie ruchem amatorskim. Są wśród nich, mówiąc nawiasem, związki zawodowe, które przecież podpisały wspomnianą umowę o współpracy.

„Gdzie się jeden naharuje, tam dziesięciu dom zbuduje” — głosi stare przysłowie.

A no właśnie.

## Przed IV Zjazdem PARTII

(Dokończenie ze str. 1)

zakładach i na nowych stanowiskach. Dochód narodowy wzrośnie o około 30%, fundusz spożycia o około 25%, globalna produkcja przemysłu o około 45%, a rolnictwa około 15%.

Są to niewątpliwie zadania ogromne, przytłaczające wprost wymową cyfr, mimo to są realne i osiągalne. Podając do publicznej wiadomości tezy Partii jeszcze raz odwołuje się do społeczeństwa, chce z nim przedyskutować punkt po punkcie wynikające z nakreślonych planów szczegółowe propozycje, zastanowić się nad możliwością ich wykonania, metodami obniżenia kosztów produkcji, znalezienia ukrytych rezerw, dokonania słusznych zmian i poprawek. Partia chce przyjąć na Zjazd przygotowaną, bogatsza o doświadczenia nas wszystkich. Pragnie usłyszeć od każdego obywatela odpowiedź na pytanie: jakie widzi możliwości poprawy stylu pracy, jej efektywności i jakości na wykonywanym przez siebie stanowisku.

Decyzja o zatwierdzeniu wytycznych pięcioletniego planu rozwoju gospodarczego Polski zostanie podjęta po wszechstronnym i publicznym przedyskutowaniu planów. Partia zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że ich realizacja leży w rękach wszystkich ludzi pracy, szczególnie zaś młodego pokolenia, dlatego też, kreśląc przed sobą perspektywę dalszej kierowniczej roli w budowaniu socjalizmu, PZPR ogromną wagę przywiązuje do wychowywania i wdrażania do oszczędnego, rozsądnego gospodarowania całej młodzieży. Stawia też przed sobą szereg poważnych zadań, mających na celu dalszą rozbudowę i zacieśnianie jednoci szeregów Partii, wzmoczenie ofensywy ideologicznej i wychowywanie w duchu marksizmu-leninizmu. Przygotowane przez KC PZPR tezy jasno wytyczają przyszłość Polski, precyzując stojący przed nami cel:

„Nasze naczelne zadanie narodowe — uczynić Polskę nowoczesnym, socjalistycznym krajem o wysokim poziomie rozwoju gospodarki, kultury i dobrobytu ludności, jest zarazem zadaniem międzynarodowym, naszym najcenniejszym wkładem do historycznego współzawodnictwa socjalizmu z kapitalizmem”.

Roman Rosiak

**Ś**NIEG, ten lekki, biały puch, z którego tak bardzo cieszą się dzieci, sportowcy i turyści, padał i padał. Tu, w Bieszczadach nikt się z tych obfitych opadów nie cieszył. Po kilku dniach od Jaślisk, aż po granicę radziecką, szerokim, sześćdziesięciokilometrowym pasem odciał od świata wszystkie wioski, osiedla i osady. Takich śniegów nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Podkarpacia. Zasypany był ponad 2 metry, do drutów telefonicznych można było sięgnąć ręką. Odciętym mieszkańcom zaczęło brakować żywności, światła, dykamentów i pomocy lekarskiej. Służbki telefoniczne przekazywały napięte, zdenerwowane brzmienie głosów proszących o pomoc, o ratunek. A nie było to wcale łatwe. Uruchomiono ciężkie spychacze, traktory, dmuchawy i inne środki odśnieżania. Obsługi tych maszyn z trudem kilometr po kilometrze, oczyszczały zasypane drogi. Pracę utrudniał mróz, silny wiatr, który formował coraz to nowe wielometrowe zasy. Mimo wyjątkowej pracy nie wszędzie udało się dotrzeć.

Sytuacja odciętych mieszkańców Bieszczad nie była więc wesoła. Ale w tych ciężkich dla nich dniach nie byli sami. Znaleźli się ludzie, którzy bez względu na niebezpieczeństwa i trudy chcieli nieść pomoc i rzeczywistość ją nieśli.

38 ratowników bieszczadzkiego GPR-u tej zimy wykonało ogromną

## RYZYKO powszednie

WOJCIECH TRZMIEL

pracę. Ich kierownik, Karol Dziuban przyznaje, że był to najtrudniejszy okres w ich dotychczasowej działalności. A są wśród ratowników i kobiety. Inżynier Ewa Beynar, nauczycielka mgr Joanna Sielska i lekarz Bożena Wojciechowska podejmowały trudny wypraw na równi z mężczyznanami. GPR interweniował tej zimy w ponad 80 wypadkach. Cóż mówi przeciętnemu mieszczuchowi cyfra 80 wypraw? A przecież za każdą taką interwencją kryje się nieraz wielogodzinny trud, kryje się siła charakteru, która zwycięża słabość, zmęczenie i ból. Poczucie obowiązku i solidarności każe nieraz wbrew rozsądkowi podjąć ryzyko pomocy ludziom obcym, nieznanym. Takim, jak tych trzynastu lekkomyślnych narciarzy, którzy zaryzykowali przejazd pod zwisającym nawisem śnieżnym. Dotąd nie zanotowano w Bieszczadach ani jednego wypadku lawiny. W górach jednak bywają niespodzianki.

Tym razem była to niespodzianka tragiczna. 13 narciarzy zasypanych. Natychmiast podjęto wyprawę ratowniczą. Była ona niezwykle trudna i wyczerpująca, najcięższa z dotychczas podejmowanych. Jej pierwszy etap trwał aż 6 godzin. 6 godzin wyczerpującej, ciężkiej walki o uratowanie ludzkiego życia. Walki zwycięskiej, bo wszyscy narciarze zostali odkopani, mimo że dwóch spośród nich zostało znieśliwych przez lawinę w trudne do odszukania miejsce.

Ratownicy nie ograniczają się tylko do wypraw *sensu stricto* ratowniczych. Bieszczadzki GPR służył jako przewodnik ekipom z transportami żywności, docierał do odciętych wiosek, aby potrzebującym pomocy dostarczyć lekarstw i dobrego słowa, które było tam również potrzebne.

Telefony z rozpaczliwym błaganem o pomoc dzwoniły nie tylko w siedzibie GPR-u. Równie często podobnie słuchawkę dyżurna pielęgniarki sanockiego Pogotowia Ratunkowego. Lekarze Gwoźdecka, Percak, Wawdeker, Jarosz, Dąbrowski i kierownik pogotowia Łukomski nieraz lecieli helikopterem, aby nieść konieczny ratunek. Piloci Mendyka i Rzewuski startowali z nimi niejednokrotnie w bardzo trudnych warunkach, nieraz wbrew przepisom, byle tylko dotrzeć na czas. Jerzy Mendyka długo będzie pamiętał swój jedyny dotąd nocny

(Dokończenie na str. 9)



Zanim zetknąłem się z nim osobiście, znałem go już z poezji ogłaszanych w „Chimerze” i w innych czasopiśmie. Szczególnie wrażenie i to bynajmniej nie przelotne wywarła na mnie — pamiętam — „Łąka”, opublikowana, jeszcze przed wydaniem w książce, w „Myśli Polskiej”, wychodzącej w Warszawie w czasie pierwszej okupacji niemieckiej, w latach 1915—1918. Byłem olśniony sugestywną wyjątkowością tego poematu i porywającą ekspresją, a zarazem pełnią artystycznego wyrazu przy użyciu najprostszych środków. To było coś więcej niż zaskoczenie. Tym bardziej, że temat ani nie był nowy, ani wyszukany. O przyrodzie pisało tylu wszak poetów i to — powiedzmy — od setek lat. W poemacie leśmianowskim było coś urzekającego i w treści, i w sformułowaniach poetyckich, i w samym obrazowaniu. Uderzyło mnie wtedy, gdym wiersz ten po raz pierwszy przeczytał, mistrzostwo w operowaniu zespołem najprostszych słów, dla wywołania tak porywającego wrażenia. Przypominam sobie, że w tych czasach dokuczliwego głodu fizycznego wynikającego z chronicznego niedożywienia, poemat leśmianowski, do którego niejednokrotnie tak chętnie wracałem, stał się dla mnie pokarmem, duchowym wprawdzie, ale podtrzymującym w jakiś tajemny sposób, odpowiadający mojej strukturze, całą moją fizyczność. Może była to właściwość owego realizmu leśmianowskiego, przemawiającego do wyobraźni zniewalającą wprost odkrywczością. Nie wiem, nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, uświadamiam sobie tylko, ile zawdzięczałem w owych czasach nie znanemu mi osobiście poecie, z którym znalazłem wspólny język.

„Ani zmore z jeziora, ani sen skrzydlaty,  
Lecz Łąka nawiedziła wnętrze mojej chaty!  
Trwała ze mną na tej ławie,  
Rozmawiając głośno prawie —  
Na ścianach moich — rosa, na podłodze — kwiaty...”

Nie grażyłem ja w niebie ni steru, ni wiosła,  
Lecz mnie radość swym prądem zmiotła i uniosła.  
Wieczność ku nam znikąd zbiegła,  
U stóp naszych, warcząc, legła,  
A pierś moja tej nocy chabrami porosła.

I było już wiadomo, że pułap sosnowy  
Wonnym deszczem, jak obłok, pokropi nam głowy,  
Bo nie snem się sny płomienia,  
Jeno deszczem i zielenią —  
Duch mi zbłąkał się w ciele, jak wpośród dąbrowy.

Przeto Bóg, co mnie stworzył, zbladł podziwem  
Zdjęty  
Zem uszedł jego dłoniom w tych pokus odjęty!  
W kształt mię ludzki rozżałobnił,  
A jam znów się upodobnił

Kwiatom i wszelkim trawom i źdźbłom gorzkiej  
mięty.

Nawołujcie się ludzie, pod jasnym lazurem,  
Chórem w świątę spojrzycie, zatrwożcie się chórem!  
Miłość wiechem rozpuśczone,  
Wszystko złamie i pokona,  
Zaś tych, co się sprzeciwia, w śnie skrupuje  
sznurem!

## WSPOMNIENIE O BOLESŁAWIE LEŚMIANIE

(1)

EDWARD KOZIKOWSKI

A opaszcie świat cały ścisłym korowodem,  
Aby wam się nie wymknął, schwytny niewodem...  
Zapłajście, zaśpiewajcie,  
Pieśnią siebie wspomagajcie,  
Toć wejździemy w świat — próżnią, aby wyjść —  
ogrodem!

W lipcu 1920 roku zostałem powołany do służby wojskowej, a z wojska odkomenderowano mnie do Centralnego Komitetu Propagandy Związków Artystycznych, działającego na podstawie zarządzenia ówczesnego ministra spraw wojskowych. Biura tej instytucji mieściły się w gmachu Konserwatorium Muzycznego przy ulicy Okólnik 1 w Warszawie, gdzie obecnie stoi zamek Ostrogskich. W tych pamiętnych dniach rozgardiaszu i nieprzemysłanych posunięć, gdy na każdym szczeblu kłóz z reguły tracił głowę, zameldowałem się w CKP i z miejsca otrzymałem przydział do Sekcji Literackiej. Długo musiałem się wyciekać, zanim zaopiekowano się moją osobą. Nie było przewodniczącym tej sekcji Stefana Krzywoszewskiego, któremu miałem odtąd podlegać. W końcu zjawił się w krótkiej rozmowie wyłożył mi, na czym ma polegać moja praca i jakiego rodzaju zadania czekają mnie do wypełnienia. Odtąd, gdy przyszło mi stykać się bezpośrednio z różnymi instytucjami cywilnymi i urzędami wojskowymi, ogarniało mnie przerażenie na sam widok owego zamętu, jaki opanował każdą dosłownie komórkę organizacyjną. Gdy wybrał się w jakiejś sprawie CKP do płk Remigiusza Kwiatkowskiego, który zajmował odpowiedzialne stanowisko wojskowe, i wyłożył mi w czym przychodzi, ten wsiadł na mnie z góry, że mu głowę zawracam niepotrzebnie mało ważnymi „duperelkami”, gdy tu ziemia pali się pod stopami i wszystkie urzędy oczekują ewakuacji. Wysłuchawszy takiego ka-

zania, pomyślałem sobie, że lepiej ograniczyć do minimum, przynajmniej w tym przejściowym okresie, kontakty z urzędami i wysoko postawionymi osobami. Tak się też stało. Od tej chwili odsiadywałem w biurze godziny urzędowania, odrabiając „kawalki” związane z moimi obowiązkami.

Pewnego dnia zgłosił się do Sekcji Literackiej osobnik niewielkiego wzrostu, o wyglądzie świeższcza i gdym się do niego zwrócił z zapytaniem, czym mogę służyć, wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się:

— Leśmian jestem!

Usłyszane słowa poderwały mnie na nogi. Wysoko-  
czyłem zaraz zza biurka zastawionego szafkami i da-  
leż dopytywać, skąd przybywa i co go tutaj sprowa-  
dza. Okazało się, że przychodzi z karteczką od Sioń-  
skiego, aby go wpisać na listę ewidencyjną. Gdy  
uczyniłem to i wręczyłem mu odpowiedni certyfikat,  
stwierdzający przynależność do Sekcji Literackiej,  
rozmowa zesłała na inne tory i objęła tematy nie  
związane z celem jego przybycia. Leśmian posiadał  
wiele bezpośredniości. Za okazane ciepło umiał pi-  
ścić ciepłem z nawiązką. Nie omieszkalem mu wspom-  
nieć, jak wzruszające chwile przeżyłem przy lekturze  
„Łąki”, którą znalazłem w „Myśli Polskiej”. Dodałem  
też, że miło mi było poznać go, żywym bowiem od  
lat podziw dla jego wielkiego talentu poetyckiego.  
Odpowiedział mi, pochrzakując w sposób sobie wła-  
ściwy, że na pewno przesadzam, a superlatywy, jakie  
usiłowałem ode mnie, stawiają go w kłopotliwym po-  
łożeniu, gdyż nie wie, co na to ma odpowiedzieć. Uspo-  
koilem go, że nie oczekuję żadnej odpowiedzi, a tym  
bardziej, żeby mi okazywał słowa wdzięczności. Po-  
wiedzialem, bo to leżało mi na sercu od dłuższego  
czasu i prędzej czy później musiałem to uczynić.

W tym to okresie, gdy przebywał w Warszawie,  
oczekując na sprzyjające warunki, które by mu poz-  
woliły na powrót do Hrubieszowa, wyszedł z druku  
jego, drugi z kolei, tom wierszy nazwany „Łąką” od  
tego właśnie poematu, co mi tak przypadło do serca.  
Pamiętam książkę tę w brązowej okładce wydrukowa-  
ną na dość lichym papierze. Pożyczyłem tę książkę  
od Ksawerego Glinki, przeczytałem jednym tchem  
i rozsmakowałem się w niesamowitych przezieleniach  
Swidrygi i Midrygi, Dwójga Ludzieńków, Bajdały  
i innych postaci wyuczonych przez autora, książki  
właścicielowi już nie zwróciłem. Pozostała przy mnie  
i to po dziś dzień. Trudno opisać, ile wzbudziła ona  
zachwytów wśród zgrupowanych w CKP pisarzy,  
plastyków, kompozytorów, artystów sceny. Sioński,  
Ostrowski, Grubiński, Kazuro, Osterwa, Glinka,  
wszyscy oni uważali, że „Łąka” jest największym wy-  
darzeniem w poezji polskiej tego okresu. Sioński  
rozkłaniał się przy byle okazji, cytując z pamięci  
fragmenty z „Ballady o dwójgu ludzieńkach”, a Oster-  
wa deklamował patetycznie właśnie „Łąkę”.

(Dokończenie na str. 9)

### Listy o poezji

## Z WIELOWSI

ANNA KAMIENSKA

Jak przed laty, kiedy ktoś od  
pehnięcia nożem  
na twym progu krzyknął,  
tak ty krzykniesz, gdy znnowu zaczną  
cię rwać ręce i siekiery.  
(Stanisław Pięta — „Dach”)

DOM poety. Dom, którego pułap  
był dla niego chmurnym nie-  
bem. Doznanie dotknięcia jego  
szorstkich bielonych ścian niósł całe  
życie przez gwar ulic. Ten dom, kon-  
kretny dom w krajobrazie nizinnej  
nadwiślańskiej doliny był dla Sta-  
nisława Pięta czymś więcej niż  
gniazdem, z którego wyszedł i odle-  
ciał, jak tylu innych wychodzi z ro-  
dzinnego domu. Jego dom był tym  
punktem na ziemi, do którego zawsze  
wracał i tęsknił, miejscem pierwszego  
poznania świata i objawienia siebie,  
miejscem pierwszych prób pisarskich,  
miejscem ożywionych postaciami i krzą-  
taniem najbliższych umarłych, matki  
i ojca. Był chyba także odniesieniem  
jego postawy moralnej i społecznej,  
nakazem wierności, a jednocześnie  
przynajmniej rozpaczliwego poczucia  
zdrady.

Tych uczuć i kompleksów pisars-  
kich i moralnych nie może zrozumieć  
w pełni ten, kto nie wszedł do ro-  
dzinnego domu poety. W pięknej  
Wielowsi, szeroko rozłożonej u stóp  
Sandomierza, tylko po drugiej stronie  
Wisły, dom Pięta jest jednym z  
najniższych i najuboższych. Leży na  
skraju wsi, tuż u wylotu na rozległy  
szmat pól i łąk. Na żardzewiałej ta-  
bliczce pod nawisłą brunatną strze-  
chą odczytać jeszcze można: Karol  
Pięta. To ojciec poety. Chata jest  
niska, jakby wrastająca w ziemię. Li-  
czy już ponad sto lat. Progi, skoble  
i klamki starte przez stopy i dłonie  
wielu pokoleń. Z malej sionki jedne  
drzewiczki prowadzą do izby mieszkal-

nej, drugie do malej kuchni. Obok —  
komora na rupiecie, worki, typowy  
schowek wiejski. Poprzez deski ko-  
mory prześwituje światło ze dworu.

Izba jest niska, jakże niska. Przy-  
pomina się wiersz:

W tak niskiej warstwie powietrza  
[od lat nie żyłem.

Więc sam poeta odwiedzając dom  
rodzinny dziwił się niskości tej izby,  
w której się wychował. Wrażenie to  
potęgują biegnące wzdłuż chropawe  
belki sufitu. Nie ma podłogi, jest tyl-  
ko gliniana polepa, pełna dziur i  
wyrw, na których na pewno przewra-  
cały się dzieci. Pod tym wąskim ok-  
nem stało trzcinowe łóżko Staszka.  
Na tym wysokim, wyżłobionym sto-  
pami progu do kuchni upadł, gdy  
zemdlal w nocy po chorobie. Miał  
wtedy trzynaście lat. W kuchni przy  
stole opisanym także w pięknym  
wierszu „Stół” pisał swoje pierwsze  
utwory, a także później tu kreslił  
pierwsze karty „Młodości Jasia Kune-  
fala”. Na strychu walały się jesz-  
cze wśród plew kartki rękopisów. W  
kuchni stoi ława, kredens i duży  
wiejski piec kuchenny, który ogrze-  
wa całą chatę. Wszystko ubogie, cias-  
ne. Tu, jak pisał, rzeczywiście

tlukły się jak biodra o biodra  
[chropawe ściany  
i bila o pułap krew kwiatów  
[i krew ludzkich ciał

Więc w takich domach także rodzą  
się polscy poeci. W takim domu wy-  
rósł poeta obdarzony tak wielką deli-  
katnością, takim ujmującym sposobem  
bycia, że można by myśleć, iż wy-  
chował się w pałacu. To klasa chłop-  
ska data mu to poczucie godności, ja-  
kiego nie mają ci, którzy wyszerzają  
się w swojej świadomości, odwracają  
się od swojej bazy społecznej, wsty-  
dzą się rodzinnego środowiska. Pię-  
tak jako pisarz miał zawsze to po-  
czucie społecznego zaplecza chłopskie-  
go, utrzymywać to poczucie społeczne-  
go zaplecza nie było mu łatwo, ono jed-  
nak stanowi siłę jego pisarstwa.

Świadomość godności własnej, kla-  
sowej wyczuwamy w postawie wielu  
starszych mieszkańców Wielowsi, któ-  
rych odwiedzamy. Zachodzimy do do-  
mów, rozmawiamy z ludźmi, wycią-  
gamy na wspominki.

— Kiedy Stasiu dowiedział się, że  
zapisali go do gimnazjum, jak on

skikał z radości! — wspomina sta-  
ruszka pokazując nam stare fotogra-  
fie. Poruszenie pamięci jest dla sta-  
rych ludzi niebezpieczne. Znów wstaje,  
ożywa to, co już nie powróci. Sta-  
ruszka przypomina sobie zmarłego sy-  
na, kolegę Staszka Pięta, głowa jej  
zaczyna się lekko trząść.

Sąsiad Piętałów wspomina, jak w  
czasie okupacji Staszek wraz z in-  
nymi rówieśnikami chował się przed  
niemieckimi obławami, wspomina, jak  
tuż niemal u progu ich domu ktoś  
został zabity.

— A już „Front nad Wisłą” jest  
prawdziwy, opisane wszystko jak by-  
ło. Staszek był czuły, nie można po-  
wiedzieć — mówi gospodarz — a co  
miał w sobie, tym umiał się dzielić,  
nie zamykał tylko dla siebie. Nieraz  
stawał się przy płocie, gwarzyliśmy  
o sprawach gospodarskich, politycz-  
nych, sąsiedzkich.

W innym domu dziesięcioletnia dzie-  
wczynka uraczyła nas muzyką, śpiewem  
i recytacją poezji. Mała artystka gra  
na harmonii. Jest delikatna i drobna,  
dźwiga instrument chyba cięższy od  
niej. A gra za całą orkiestrę. Rodzice  
patrzą w nią zakochanymi oczyma.

Odwiedzamy też szkołę mieszczącą  
się ciągle w budynku przyklasztor-  
nym. Do tej szkoły chodził jeszcze  
Staszek Pięta. Uczyły wówczas za-  
konnice. W czterech chłodnych izbach  
szkolnych dzieci uczą się na trzy  
zmiany. Z sufitów przecieka woda.  
W ciężkich warunkach uczą się zdol-  
ne dzieci Wielowsi. Budowa nowej  
szkoły została przesunięta na nastę-  
pną pięciolatkę. A przecież jest to  
sprawa niezwykle pilna i paląca dla  
Wielowsi. Ta szkoła, o której budowę  
zabiegał Stanisław Pięta, powinna  
być wzniesiona jak najszybciej i o-  
trzymać imię Stanisława Pięta, poe-  
ty i wiernego syna Wielowsi.

Dom poety zostanie rozebrany. Jest  
stary i spróchniały. Stanisław Pięta  
przeżuwał już, stył krzyk domu.  
„gdym zaczął go rwać ręce i siekiery”.  
Niestety, dom ten nie może być za-  
chowany jako pamiątka po poecie.  
Pozostaje inna idea — w nowej szko-  
le, jaką otrzyma Wielowieś, odtwo-  
rzyć choćby fragment kuchni, okna,  
przy którym pracował, stworzyć ką-  
ciak muzealny, którym opiekowałaby  
się młodzież. Również Tarnobrzeg po-  
winien przyłączyć się do akcji zbier-  
ania wspomnień i pamiątek po poe-  
cie.

Tarnobrzeg miałby szanse stworzyć  
nową placówkę kulturalną, coś w ro-  
dzaju muzeum pisarstwa ludowego i  
na tym tle ukazać postać Pięta.  
Przecież tu na Ziemi Rzeszowskiej jest  
ojejzyna wielu chłopskich pisarzy, Ja-  
na Słomki, Franciszka Magrysia, Jana  
Raka, Ferdynanda Kurasia (z teje  
samej Wielowsi). Pisarzem był stryj  
Poety, Franciszek i ojciec Karol. Na  
tym tle kulturowym ukazać pisar-  
stwo Pięta, wierne ziemi i własnej  
klasie społecznej, a jednocześnie ogólnarodowe, pełnowartościowe.

Tarnobrzeg właśnie winien rzucić  
ideę stworzenia pierwszego w Polsce  
muzeum pisarstwa ludowego imienia  
Stanisława Pięta. Wyszukaj tę  
propozycję na łamach „Kamery”,  
wierzę, że przyjaciele poety i kole-  
dzy z gimnazjum tarnobrzeckiego po-  
dejmą tę myśl i zrealizują ją może  
w oparciu o gimnazjum. Wielki okrąg  
przemysłu będący celem wielu wy-  
cieczek i delegacji powinien dopro-  
wadzić się placówką kulturalną, która  
pogłębiłaby tradycje kultury tego re-  
gionu.

Wyjeżdżając z Wielowsi, odwiedza-  
jąc jeszcze na cmentarzu grobotwiec  
rodziców poety, Karola i Barbary,  
myślę o tym, że powinniśmy się z  
większym pietyzmem odnosić do  
miejsc i pamiątek związanych z naszą  
kulturą i literaturą. Imponuje nam  
to i zadziwia, jak wielką wagę przy-  
wiązują do tych spraw Czesi, Buł-  
garzy, Rosjanie, Jugosłowianie. Mu-  
zea literackie, domy poetów i pisa-  
rzy, przybliżają ich trud, są szkoła-  
mi mądrego patriotyzmu. O swoich  
zasłużonych pisarzach Rosjanie mówią  
po imieniu i oteżestwie jak o blis-  
kich. Pamiętam w Bułgarii dom Ka-  
bleszkowa w Kopriwsczyca, pamiętam  
w Słowenii dom Prešnera, bardzo  
wzruszający dzięki odtworzeniu daw-  
nego typowego wnętrza wiejskiego. W  
tych drobnych punktach muzealnych  
przejawia się wdzięczność narodu i  
społeczeństwa dla twórców, widać ja-  
kieś zawężenia tradycji i kultury.  
Bo pisarz to nie tylko abstrakcyjne  
dzieło, ale także życie wpisane w  
określone ramy krajobrazowe i by-  
towe, nieraz bardzo ważne dla do-  
tarcia do samego dzieła.

Polska literatura i polska poezja  
gestą siecią żywotów literackich opla-  
ta nasze miasteczka i wsie. Tutaj  
nie ma podziału na stolicę i prowincję.

Stolice pisarstwa leżą tam, gdzie  
biją źródła twórczych inspiracji.



Czy znać „Wspomnienia” Wacława Sieroszewskiego? Czytamy je na spotkaniach dwóch pokoleń. Nawet ci najmłodsi chwytają się za głowy, kiedy odczytujemy zapiski sędziego pisarza. Nie było kto: prezes Polskiej Akademii Literatury pod datą 25 września 1939 zapisuje: „Z pomysłnych wiadomości słyszeliśmy jeno pogłoskę o zajęciu przez Anglików Gdyni, Gdańska i Królewca oraz że Anglicy posyłają nam na pomoc 300 bombowców”...

Organizatorzy spotkania usadowili przedstawicieli obu pokoleń po obu stronach długich stołów. Czyżby dlatego, aby mogli sobie patrzeć w oczy, obserwować każdy ruch, każde drgnięcie powieki?

Nie ma miejsca prezydialnego. Nie reprezentuje sensu strictly żadnej grupy. Przypadkiem usiadłem w rzędzie przeznaczonym dla najmłodszych. Jaka różnica? Wszyscy pijemy kawę, wszystkim smakuje jednakowo.

Młodzieniec w ciemnym garniturze i w motylku pod brodą prosi, abym mu dał do ręki książkę, z której odczytałem fragment. Po chwili gruby tom obiega stoły. Zaglądają kolejno, przewracają strony, szukają na ostatniej kartce nazwy wydawnictwa. Fachowo. Ci z naprzeciwka uśmiechają się. Zapewne nie czytali Sieroszewskiego, może w ogóle nie słyszeli o jego istnieniu, ale wiedzą. Przeżyli wrzesień. A któż z tych, co przeżyli, nie pamięta owych bezsensownych plotek, które obiegały wówczas kraj, kto nie ulegał wpływowi bzdurnej propagandy, nie ludził się: „A nuż rzeczywiście przylecą, położą kres potwornym, niestannym nalotom, nekającym bombardowaniom, makabrycznym snom, które nie były snami?”

Organizatorzy przestają panować nad sytuacją. Nikt nie podsuwa tematów do dyskusji. Wrzawa cichnie. Zaczyna się rozmowa spokojna, rzeczowa, przeplatana kłopotliwymi pytaniami.

— Przecież nie było broni nuklearnej, jak mogliście przegrać wojnę w ciągu kilku tygodni?

— A dlaczego dopuściliście do takiej słabości?

— A dlaczego mieliśmy „lipnych” sojuszników?

— We wszystko mogę uwierzyć, ale

# POKOLENIA

WALDEMAR BABINICZ

żeby człowiek mógł żyć bez kina — nie uwierzę.

— Nie było na gazetę dziesięciu groszy? Nie przesadzajcie. Co to znaczy dziesięć groszy. Ja wiem, że pieniądź był droższy, nie musicie mnie ciągle uświadamiać. Powiedźcie, że gazeta nie była tak popularna. Z tym mogę się zgodzić.

— Owszem, drogi mogło nie być, światła też. Ja sam pamiętam, jak stawali ślupy. Ale przyznajcie się, że z butami to przesada. Jakże tak; bez butów? Może macie na myśli buty z cholewami? Dziś tego nikt nie nosi.

— A przecież umiecie tyle fajnych piosenek. Pieszko na zjazdy? Chcieliście, żeby my też? He, he. A po co? PKS-y zbankrutują.

— Nieźle ich zaginamy, co panie? — szepcze ten z motylkiem. — Niech się poca. Panu naprawdę smakuje ta kawa? Lura. Moja narzeczona parzy kawę: palce liżać.

— Skąd jesteście?

— Z sąsiedniej wsi. Rodak, można powiedzieć. Za dwa — trzy lata ten cały Lasków złączy się z moją wsią i będę miastowy.

— Wolnego. Lasków to dopiero osada, do miasta daleko.

— Przecież nie będzie stał w miejscu. Też rośnie. Jak chodzę do czwartej klasy, był taką samą wiochą jak i nasza.

— Pamiętacie? Więc widzicie: zmienia się. Nawet na waszych oczach.

Milczy chwilę.

— A wtedy stało w miejscu? Nie zmieniali się?

— W ciągu dwudziestu lat w mojej wsi przybyło sześć domów, ale w czasie pacyfikacji spalono jedenaście.

— Kto pamięta pacyfikację? Właśnie ten pan tu opowiada.

— Ja.

Wstaje niepozorny człowiek o rozbieganych oczach, ruchliwych rękach.

Krótką, zwięzłą opowieść. Znajdą ją nie tylko czytelnicy „Strajków chłopskich w 1937”.

Sąsiad z lewej przepytuje: — Niemcy? Może nie słuchał uważnie. Ta obok rzeczywiście ma wyjątkowo piękne oczy.

— Jacy Niemcy, człowieku? Polacy, swoi. Nie słyszałeś?

— Hm. Ciężkie mieliście życie. Ale kochaliście się, co?

— Morgi były ważniejsze. One decydowały.

— Wtrąć się w sprawę nauki. Ilu siedzi po tamtej stronie stołu? Niech będzie na oko czterdzieści osób. Ilu skończyło przed wojną siedem klas? Jeden? A SPR? A inne szkoły? A kurs samochodowy? Bez lipy. Ani jedna osoba?

Do licha, rozmawiamy rzeczywiście różnymi językami. To przecież nie sprawa różnic pokoleń. Ostatecznie różnica między ojcem tego z naprzeciwka a nim samym nie jest znowu tak wielka. Znam ich obu. Stary przyszedł z ciekawości, nie był zaproszony. Opowiedziałby niejedną historyjkę, ale go nie dopuszczają do głosu. Należy do innego pokolenia i zacząłby zapewne opowiadać, jak to było za cara. Dla tego z motylkiem to samo, co historyjka o pierścionku Kingi w Wieliczce, którą słyszał już po wielokroć na wycieczce do kopalni. A propos, warto go zapytać o wycieczki.

— O jakie chodzi? Krajowe? Dużo.

— Byliście za granicą?

— W pięciu krajach. Z kapitalistycznych znam Francję. A pan? Prawdę powiedziawszy, mój stary też się napodróżował. Zna całe Niemcy. NRF też.

— Teraz jeździł?

— Nie, skądże? Był wywieziony na roboty. Ale się liczy, nie?

Spotkanie trwa cały dzień. Sama inicjatywa, przebieg, organizacja zaśługują na uznanie. Nie wiem, jak podobne spotkania przebiegać będą w miastach. Będą być może bardziej rzeczowe, chociaż i tu nie obejdzie się bez momentów emocjonalnych. W spotkaniach, w których uczestniczy-

lem dotychczas, a odbywają się one już w kilku województwach, momentów tych było niemało. I tak np. w wsi Dobra pięćdziesięcioletnia Helena Dywan świetnie, z pasją, wspaniałą dykcją recytowała „Nagi bruk” Zeromskiego. W natłoczonych sali słuchających gości składała tej ualentowanej kobiecie gratulacje, odpowiedziała: „Gdybym umiała czytać przed wojną, może bym wcale nie pracowała na roli; zawsze pociągala mnie książki, piękne słowo, wiersz. A ostatnio przepadam za teatrem; bywam prawie na każdej premierze”. Sala potakuje. Gdybym mógł, zorganizowałbym tournée Heleny Dywan po kraju. Ba, ale ile jest takich Helen? Czy znamy ich wszystkie?

Aż dziw, jak ci urodzeni w czterdziestym mało znają swoich poprzedników. To znaczy mało znają historię najnowszą. Słuchałem wypowiedzi wysokich dostojników państwowych, wybitnych działaczy i ludzi prostych: robotników, chłopów. Były to oczywiście wypowiedzi bezpośrednie, świeże, nie obliczone na poklask, bez cienia patosu. Po prostu barwnie opowiedziane wspomnienia młodszym braciom, synom, córkom. Obserwowałem natłoczone sale. Oprócz tych przy stolach, gęste tłumy przy ścianach, na korytarzach, w oknach, na bezkach strażackich. Wysiadają wszystkie koncerty muzyki nowoczesnej, kabaretowe piosenki, madisony i twisty. Dlaczego? Tamte opowieści to zacierpnięte żywem romantyczne przegody z najbardziej popularnych książek, tych sensacyjnych czy kryminalnych. No bo jak ktoś opowiada wspomnienia z więzienia, w którym sam gnął, ucieczkę z Berezę Kartuskiej, przebieg zebrania w zakonspirowanym lokalu, rewizję, pogoń tajniaków, drogę do szkoły, którą przemierzał własnymi stopami codziennie siedem kilometrów tam i z powrotem, w mróz, śnieżyce, deszcz, zawieruchę; jak Zenon Kurek snuje wspomnienia o tajnym zebraniu, które odbywał się na cmentarzu w chmurach, bezksiężycową noc, to nie dziw, że tym młodym włosy stają dęba, że patrzą na narratorsa zbiegaliymi ze strachu oczami, zerkają za okna i — kto wie, o czym w tej chwili myślą, w jakiej roli wyobrażają siebie aktualnie. Pan to prawdziwy bohater — szepczą jakaś dziewczyna, a kiedy Kurek uśmiecha się zakłopotany i macha ręką, widzę, że jego pięciuset słuchaczy chciałoby koniecznie odegrać jakąś ważną rolę w życiu i dużo by dało to, żeby opowiedzieć za lat dwadzieścia nie mniej wspaniałe historie o własnym życiu.

Nie mamy książek o tamtym dwudziestolecu. A jeśli są, nie odpowiadają one współczesnej młodzieży. Mają posmak nudnawej historii, którą owszem, trzeba znać, bo inaczej, jakże? — nie wypada, ale nie porywają, nie wywołują wypieków, nie zachęcają do szukania okazji w otoczeniu, okazji wedle modelu najnowszego, którą stwarza współczesne życie, okazji, która wymaga w codziennej pracy twórczości, pomysłów, może wyzwoleń nie mniejszych, na pewno olbrzymich wysiłków.

(Dokończenie na str. 13)

## POGLĄDY I PRZEGLĄDY

# Laboratoria językowe

JERZY GEMBICKI

CORAZ żywsza wymiana kulturalna między Polską a krajami całego świata, coraz bardziej rozwijający się zagraniczny ruch turystyczny, a także potrzeba uzupełnienia wiedzy poprzez lekturę książek obcojęzycznych, powodują stały wzrost zainteresowania nauką języków obcych. I chociaż, jak gryzby po deszczu, powstają liczne kursy i kluby konwersacyjne, ogólny poziom nauczania języków obcych pozostawia u nas wiele do życzenia. Wpływa na to w niemałym stopniu dość niski poziom nauczania w szkołach ogólnokształcących jak również dość staroświecki sposób nauczania na kursach języków obcych.

Ciekawy materiał w zakresie tego problemu przyniosły badania dokonane przez specjalną komisję pracowników nauki PAN. Znajdujemy tam m. in. bardzo interesujący opis nowoczesnego laboratorium językowego. W ostatnim czasie, tj. od kilkunastu już lat, stwierdzają autorzy pracy poświęconej temu zagadnieniu (A. Gądek, K. Marion i E. Rychlewski), coraz powszechniej jest stosowana nauka w laboratoriach językowych, zwana również metodą audio-wizualną. Zobaczymy więc, jak wygląda tego rodzaju laboratorium. Obliczone jest ono na 12-30 osób i składa się z reguły z trzech części: z kabin uczących się, z biurka kontrolno-rozdziałowego nauczającego oraz z projektora filmowego z ekranem.

Kabina uczącego się jest izolowana od kabin pozostałych uczniów. Każda kabina jest zaopatrzona w magnetofon, słuchawkę, mikrofon i system komunikacyjny z nauczającym i resztą uczących się.

Z biurka kontrolno-rozdziałowego nauczający może rozmawiać i kontro-

lować każdego uczącego się indywidualnie, grupę lub też wszystkich uczących się. Ponadto z tego samego biurka nauczający może włączać projekcję filmową, zatrzymywać magnetofon poszczególnych uczniów, nagrywać i słuchać taśmy przesłuchiwanej przez uczących się itd.

Nauka polega na przesłuchiwaniu przez uczniów pod kierunkiem nauczyciela taśm, na których nagrany jest kurs języka obcego. Początkowo jest to monolog nagrany przez osobę posiadającą nienaganną dykcję, a każde zdanie jest zilustrowane projekcją filmową zsynchronizowaną z taśmą magnetofonową.

Taśma posiada dwie ścieżki. Na jednej, dolnej ścieżce zapisany jest głos nauczyciela, a na drugiej, górnej ścieżce głos uczącego się. Uczeń mówiąc do mikrofonu automatycznie nagrywa swój głos na górną ścieżkę i jednocześnie może kasować dotychczasowy zapis. Uczeń nie może jednak zmasać zapisu na dolnej ścieżce. Może to zrobić tylko nauczyciel ze swojego stanowiska przy biurku kontrolno-rozdziałowym.

Pomiędzy poszczególnymi zdaniem tekstu nauczyciela są przerwy pozwalające uczącemu na powtórzenie tekstu, które jest zapisywane na górnej ścieżce taśmy. Uczeń przesłuchując powtórnie taśmę, słyszy zarówno kwestie nauczyciela jak i swój zapis i może wielokrotnie poprawiać swoją wymowę, zapisując swoje kwestie ponownie na taśmę, co pozostaje bez wpływu na zapis na dolnej ścieżce. W miarę postępu procesu nauczania wprowadzana jest technika pytań i odpowiedzi, jak również specjalne ćwiczenia i sprawdziany. W każdej fazie procesu nauczania uczeń znajduje się pod kontrolą nauczyciela.

Nauczyciel może ze swojego biurka kontrolno-rozdziałowego odtwarzać uprzednio nagraną lekcję, a lekcja ta może być słyszana w słuchawkach uczących się, lub też jednocześnie nagrywana na taśmę magnetofonu, znajdującą się w każdej kabinie. Z tego samego miejsca nauczający może przysłuchiwać się kolejno poszczególnym uczniom, korygując ich błędy i udzielając wskazówek. Może również zatrzymywać i ponownie włączać magnetofony jednego ucznia, grupy uczniów, lub wszystkich uczniów. Nau-

czyciel może też ponownie nagrywać dolną ścieżkę taśm magnetofonów, jednego lub więcej uczniów, likwidując jednocześnie automatycznie poprzedni zapis. Z biurka kontrolno-rozdziałowego można jednocześnie obsługiwać projektor filmowy, zsynchronizowany z fonią magnetofonową.

Laboratorium językowe może posiadać również — obok regularnego kursu języka obcego — taśmy z tekstami specjalistycznymi jak również teksty wyłącznie dla ćwiczeń słownych, bez wizji.

Opisana powyżej metoda gwarantuje nie tylko przyspieszenie procesu nauczania, lecz również stanowi rewolucję w samej technice nauczania, wpływając na intensyfikację nauki indywidualnej, niezależnie od słuchacza od różnego stopnia postępów w nauce innych uczących się.

Wspomniane laboratoria istnieją już w całym świecie, a nawet w szkołach średnich. Jedno z takich laboratoriów działa m. in. w Moskwie przy Uniwersytecie Przyjaźni Narodów im. P. Lumumby. Jest także w Warszawie we Francuskim Ośrodku Naukowo-Technicznym. Rzecz jasna, że istnienie samego laboratorium nie stwarza cudów. W dalszym ciągu w nauce języków obcych ważną rolę ma do spełnienia lektor posiadający pełne kwalifikacje, a także stałe obcowanie z językiem w ośrodkach konwersacyjnych, a także pobyt za granicą, a więc w tzw. środowisku naturalnym. Niemniej postulaty pracowników PAN-u zmierzające do zainteresowania władz problemem nauki języków obcych poprzez nowoczesne metody studiów stanowią pierwszy krok posuwający naprzód cały kompleks tego poważnego problemu, jakim jest nauczanie języków obcych w naszym kraju. Jak dotychczas bowiem, zbyt mało wagi, niestety, przykłada się do tego, aby w sposób racjonalny przy użyciu odpowiednich środków materialnych i kadrowych ustalić właściwe formy i metody nauczania języków obcych wśród różnych środowisk ludzi pracy w Polsce. Sądzimy, że badania czynione przez pracowników PAN przyniosą jeszcze niejedną ciekawą i rzeczowy materiał w tej sprawie, przyczyniając się w konsekwencji do praktycznego zrealizowania niektórych postulatów i propozycji.

## MARIA JÓZEFACKA

\* \* \*

minuta przechodzi w minutę  
o wiele dla mnie za wcześnie  
jak kolumna przechodzi w kolumnę  
akropolu

fragment faldy  
może zatrzymana w wieczności rzeka  
albo gałąź nachylona za bardzo  
do południa

o bezradne na-pod-słuchiwanie  
tej rozmadę z kimś zupełnie obcym

\* \* \*

cięższy ziemię  
przykuwa cię do nas  
nasza rozpacz i nasz niepokój  
a ty szkielet przetwarzasz zielenią  
wiosnom słońce wpuszczasz szeroko

wysuszone naszym pragnieniem  
cięższy — twarda jak skórzany bukłak  
a gdy z rąk cię wypuścimy wreszcie  
ciągnąc z sobą most bez zaczepienia  
jakąś kroplą znów życie podsycają  
nieustrudzone — tkliwa matka ziemia



Z okazji 400-lecia urodzin Szekspira uczestnicy Studium Kultury Teatralnej przy Lubelskim Domu Kultury wzięli udział w konkursie pod hasłem „Hamlet 1964”. Do „jury” weszła z ramienia „Kamery” redaktor naczelny M. BechcZYC-Rudnicka i kierownictwo Studium w osobach I. SzeZepowskiej, A. TarkieWiczowej, Z. Dąbrowskiego oraz przedstawicielka słuchaczy, ob. E. Rzewuska. W ocenianiu złożonych prac wzięli również udział wszyscy słuchacze Studium, przyznając w „tajnym głosowaniu” (!) nagrody Studium. Za najciekawsze uznano prace: E. ŻwirKowskiej (godło „Jacqueline”), J. Rybickiego (godło „Irys”), M. Skalskiego (godło „Essex”), a w dalszej kolejności M. Rzewuskiej (godło „Koli”) oraz W. Suświlly (godło „Próba”).

„Kamera” zamieszcza fragmenty prac wyróżnionych i niektórych niewyróżnionych — stanowiących naszym zdaniem — ciekawych przykładów do współczesnej recepcji Szekspira i do charakterystyki naszej młodzieży.

**Marek Skalski**  
(student filologii polskiej)  
Drogi Hamlecie

Twoje, jak to sam określaś, „idiotyczne wynurzenia obłąkańca szukającego sensu życia” poruszyły mnie do głębi. Znamy się od lat i kiedyś jeszcze w sztubackich czasach, gdy wiek męski przypinał nam pierwsze azlify, „rozgrzyłem” Cię chyba zupełnie. Powiesz: „To było dawno, zmieniłem się, a tamto studium jest już tylko tłem dzisiejszego mojego ja. Życie jest ciąglem poznawaniem zmian i aby mnie zglebić, musiałbyś studiować mnie na nowo”. To prawda! Nie byłeś przecież od urodzenia przeżyłym młodym stercem. Kiedyś potrafiłeś być zupełnie inny. Dziś jesteś cyniczny, pesymista, sceptyk, zgorzkniały „turpista”. Nienawidzisz siebie, ludzi mających Cię na ulicy, unoszących na ekranach swych twarzy wypisaną radość życia. Gardzisz nimi i pytasz siebie samego: „Z czego ci durnie są zadololeni?” To wszystko, co mają, czym żyją, co nazywają szczęściem — to tylko nędzna namiastka, surogat prawdziwego szczęścia.

Cheesz zrobić coś dla społeczeństwa. Coś wielkiego, co uzdrowiłoby świat, wyrwało z błota i upodlenia. Uległeś własnej sugestii, że świat jest metropolią zła, rządzoną pieniądzem, kłamstwem, pożądaniem. Rozumiem Cię. Życie nie szczędziło Ci ciosów. Uwielbiałeś swego ojca, pamiętam, był wspaniałym człowiekiem. Kochał Twoją matkę. Rozwód go wykończył. Człowiek, który wtargnął pomiędzy Ciebie a matkę, jest Ci obcy. Pozbawił Cię matczynej miłości, uzurpując ją sobie. Nienawidzisz swojej matki, razi Cię i odpycha jej zmysłowość. Nienawidzisz człowieka zajmującego miejsce ojca. Nienawidzisz go szczerze, choć wielu zazdrości Ci ojczyzna, słynnego profesora, rewelacji w naszym świecie naukowym. Szukasz miłości kobiety i zostajesz odrzucony. Ofelia — Twoja dziewczyna — nie zasługiwała na uczucia, jakimi ją darzyłeś. Filisterka i egoistka, dbała tylko o siebie. Łączyły Cię z nią transakcje czysto handlowe. Prezenty, którymi ją obśypywałeś, przeliczała na pieczęty po z góry ustalonym kursie. Odeszła w momencie, gdy Twoje akcje na giełdzie rodzinnej spadły. Widziała w Tobie pomyłkę. A Twoi przyjaciele? Przestałeś im być potrzebny, gdy odszedłeś z domu rodzinnego i wzgardziłeś forszą „rodziców”. Upodlono wszystko. Stałeś się zrezygnowany, bezradny, melancholijny. Popadłeś w stan, który jest pewnego rodzaju rozstrojeniem nerwowym. Wyczerpuje Cię walka z samym sobą. Ogromna przepaść dzieli rzeczywistość i Twoje ideały. Stąd słabość, niezdeterminowanie (to Twoje „Być albo nie być”), zachwiania równowaga życiowa. Widzisz wszystko w krzywym zwierciadle.

Ja chcę Ci przywrócić radość życia, wskazać właściwą drogę. Jesteś wspaniałym człowiekiem, Hamlecie. Nawet depresja psychiczna, to Twoje „obłąkanie” nie może zabić w Tobie wielkiej mądrości, którą posiadasz. To nie jest czyzy pean na Twoją cześć. Stwierdzam tylko niezbitą fakt. Ciągłe mówisz o bezcelowości życia. A jednak, chyba zupełnie w to nie wierzysz. Ty masz swój cel. Cheesz naprawdę rzeczywistość. Idea piękna, mądra, szlachetna. Ona właśnie czyni Cię prawdziwie wielkim, ona każe Ci wybrać decyzję: BYC. Życie jest przecież czymś nieodzownym. Sam wiesz, ile trzeba uczynić, gdy nad całym światem zawisło widmo wojny nuklearnej! Pomyśl o tym! Gdyby wszyscy

ludzie dobrej woli, Hamlecie... Tak wiele jest tragedii w życiu, że Twoja to tylko jedna iza w oceanie placzu. Nie Ty jeden doznaleś zawodu i straciłeś wiarę w siebie. Czy wiesz, jak wielu masz sobie podobnych? Spotykam ich codziennie na ulicy, w kinie, w sklepie, w autobusie, w kawiarni, wszędzie. Oni mają identyczne problemy. Oni są Tobą, gdy śmieją się, płaczą, rozmyślają. Tobą jestem po trosze i ja, jest mój sąsiad z przeciwka, jest uczeń z tornistrem spieszący do szkoły. Masz wielu braci. Całe tłumy Hamletów pełnych kompleksów, opanowanych moralnym „kacem”, nastrojami zniechęcenia, kompleksem „bezcelowości” i „bezsensowności” naszej egzystencji. Wyznawcy „tumiwizmu” — to też Hamleci. Ty, jesteś ich duchowym przywódcą, patronem, symbolem niemal. Wszyscy oni są młodzi, jak Ty. Oni także chcieliby uczynić coś wielkiego, coś, co stanowiłoby zwrot w ich życiu. Brak im tylko jednego — wiary w siebie.

UWIERZ W SIEBIE, HAMLECIE!  
Twój przyjaciel — Horacio

# HAMLET 1964

**Janusz Rybicki**  
(student Wydziału Filozofii)

Sztuka ma być sejsmografem swoich czasów. Niekiedy jednak sprawdza wszystkie czasy, do których przyłożymy jej dzieła. Jeżeli twórcy będą na miarę Szekspira. Przeżywamy epokę kruszenia dawnych bogów, epokę migotliwych zarysów „nowego”. Jak określić ludzi naszej Danii — spod znaku Oświęcimia i Hiroszimy, a zarazem przedłużania życia i astronautycznych perspektyw. Zawodzą tu na ogół systemy i teorie, nie dorasta często współczesna sztuka. Jak określić Hamleta tej epoki? Będzie on na pewno świadectwem piszącego, a także wszystkich, którzy mu nie zaprzeczają. Czy będzie również symbolem „biednego chłopca z książką w ręku” chodzącego po renesansowym zamku? Powiedzieć „tak” — to wybrać optymizm. Wybrałem ten optymizm „artis longae” i mówię o Hamlecie jak o bliskim znajomym. Takim, który sprawdza siebie nie wierząc Camusowi, że każda rzecz jest w człowieku udanym, a wszystkie jego przeżycia stanowią kunsztowną siatkę samozałamania. Który szuka wartości w swoim renesansowym czy moim atomowym świecie. Nie jesteśmy nigdy pewni, czy je ostatecznie znajdziemy. Milczy o tym Szekspir.

Hamlet startuje pełen nadziei. Potem jest pierwsze doświadczenie, które wszyscy przeżywamy, i ono w nas rośnie. Mówimy „Świat wyszedł z formy i mnie to przyszło wrócić go do normy”. Nawet gdy decydujemy się na model egocentrycznego szczęścia, jak w „Niewinnych czarodziejach”. Będzie to ograniczenie słowa „świat” do siebie. Tylko czy jesteśmy wówczas pewni, że wszystko jest w porządku? Rozpoczęcie takiej gry kończy się najwyżej wybudowaniem domku z kart do niej używanych...

Hamlet odczuwa samotność. Nieprawda, że „nikt nie jest samotną wyspą”, skoro wszyscy rodzimy się i umieramy w tym stanie. Ale wyspy są odpowiedzane, a walka wymaga sojuszników. Król znalazł królową i Laertes. Poloniusz się nie liczy — to o-ortunist. Hamlet nie znajduje nikogo. Przypomina Don Kichota i tych bohaterów Chestertona, którzy działają wbrew regułom przyjętym w świecie. I ponieważ świat często zwycięża, mogą użyć słów „Starego człowieka”: „Przegrałem, ponieważ wypłynąłem za daleko”. Czy to znaczy: wpływają blisko lub zostaną na brzegu?

**Elżbieta ŻwirKowska**  
(nauczycielka Liceum Ogólnokształcącego)

Za chwilę Horacy i Marcellus wprawdzą Cię na trop prawdy — jest bardzo dziwny. Ale dlaczego z takim niedowierzaniem wypowiadasz słowa:

o lotrze,  
Uśmiechający się, bezcelny lotrze  
można  
Nosić na ustach uśmiech  
i być lotrem

Jeśli nawet nie chcesz uwierzyć w trafność swoich przeczuć, nie zapominaj, że mówisz to nam, którzy przeżyli lub znamy największe okrucieństwa, jakie „ludzie ludzimi zgotowali”...

Dotykasz młodym sercem po raz pierwszy autentycznego cierpienia, które przyniosła ludzka zbrodnia. I może dlatego tak uparcie szukasz prawdy, zanim zechcesz wymierzyć sprawiedliwość...

Dania jest już więzieniem, dlaczego więc z taką wiarą podejmujesz samą walkę przeciw niemu.

Szukanie prawdy nie jest łatwe. Aby ją poznać, nakładasz maskę szalonego, w końcu wybierasz teatr jako najlepszy środek prywatnej demaskacji fałszu. Jeżeli nie ma środków do zdemaskowania przed dworem zbrodni — ważne jest upewnienie samego siebie. Próba rozegrania „życiowej kroniki czasu” niesie nowe wyrzuty i nowe wahania.

Jak walczyć ze złem? — któremu winni są ludzie, za którym stoi władza i które chroni obojętność in-

nych ludzi? Jak walczyć w obliczu nierozstrzygniętych pytań o nieprzemijające wartości moralne? — Jedno jest pewne, że trzeba walczyć.

Pierwsze zwycięstwo — udana demaskacja!

List, który przychodzi do króla, podpisany jest przez ciebie „sam jeden”. Te słowa nabierają dwójakiego znaczenia. Kryje się w nich sugestia co do losu „towarzyszy podróży” i jeszcze mocniej podkreślają one również wybraną samotność w walce. W momencie, gdy za drzwiami królewskimi czekają Duńczycy przybyli z Laertesem. Książę! Nikt tu nie chce walczyć sam, nawet Laertes chcąc pomóc ojca szuka sprzymierzeńców. A ty?...

W obliczu nowych zdrad, nieodwołalnej, własnej śmierci — krok ostateczny: zabójstwo króla. Jedyna prośba Twoja. „Wytłumacz mi sprawę Horacy”. Dlaczego zależy ci na dobrym imieniu, przecież niczego nie robiłeś dla cześci sławy? — Zbyt wiele kosztowała cię walka, aby nie miała być za nią nagrodą prawda o tobie. Na niej zależy ci najwięcej. Może wtedy zbrodniarz zobaczy następstwo zbrodni?

Tylko kto tę prawdę opowie, Horacy?

Za chwilę oddadzą ci hołd jako bohaterowi, zabrzmia muzyka i salwy. Czy warto było walczyć dla tych honorów? Dla jednego czulego „dobranoc, mój książę”, dla zachwyty nowego władcy Fortynbrasa. A nawet jeśli zapłacą ci prawdą, to czy zmieni się świat? Nie ma chyba na to odpowiedzi poza tekstem twoich słów, książę:

Więcej jest rzeczy na ziemi  
i w niebie  
Niż się ich śniło naszym  
filozofom.

**Małgorzata Rzewuska**  
(studentka Akademii Medycznej)

Mój „Hamlet”

W „Hamlecie” znalazłem wyczerpujące odpowiedzi na wiele pytań nurtujących mnie już od dawna. Szekspir podaje racjonalne rozwiązanie problemu władzy, ukazuje rozliczne przykłady czasem nawet krańcowo różnego rozumienia biegu historii. Prawie każdy z bohaterów osiąga swój cel, lub dąży doń inną drogą i środkami, kierując się indywidualnym systemem prawidłowości postępowania w życiu. Wybór sił i manewrów najczęściej wpływa z obowiązku, nakazu, reguły, wreszcie jest dowolny.

Hamlet wie, że musi działać. Mój Hamlet nie jest irracjonalistą. Jego wahanie i rozmowy świadczą o szukaniu wyjścia z ziemskiego impasu. Hamlet obawia się konsekwencji ucieczki. Kłaska Hamleta jest następstwem jego działania. Do steru władzy dochodzą ludzie silni, zdecydowani i świadomie działający.

Jedyna postać nie zaangażowana w spór — Horacy spełniałby warunki dobrego rządcy. Do objęcia władzy trzeba mieć jednak siłę, której brak Horacemu. On jeden widzi groteskowość sytuacji i całego świata hamletowskiego. Kolowrót historii nieodwracalnie toczy się dalej.

**Wojciech Suświllo**  
(student filologii polskiej)

„Hamlet” nie jest traktatem filozoficznym ani moralnym, ani psychologicznym. „Hamlet” jest teatrem. Jest teatrem, to znaczy jest scenariuszem i rolami. Ta myśl prof. Kotta jest w jego książce prowadzona dalej. O scenariuszu „Hamleta” rozstrzyga Fortynbras. W wątku Fortynbrasa widzi nowoczesną szekspiologię klucz do „Hamleta”. Zgadza się z tym i nie zgadza...

O scenariuszu „Hamleta” rozstrzyga Duch. Kim jest Duch?...

Jeżeli Hamlet współczesny w zjawy nie wierzy, Duch może istnieć jako metafora lub symbol, jako znak. Symbol czego?...

O Fortynbrasie, młodym królewiczu Norwegii, słyszymy już w pierwszej scenie. Stary król Hamlet był i jest przyczyną zamętu (w tekście: „wojen”). Fortynbras sieje zamęt. Głośno o nim w „Hamlecie”. Duch jest motorem działań ludzkich; Fortynbras niejako jego ziemskim odbiciem. Tu widzę wyraźny paralelizm w kompozycji szekspirowskiego dramatu, a nawet więcej — te dwie postacie zlewają się w jedną. I dlatego powiedziałem na wstępie tych rozważań, iż zgadzam się i nie zgadzam zarazem, że „Hamleta” należy odczytać przez postać Fortynbrasa.

W „Hamlecie” Wyspiańskiego, po wszystkich krwawych wydarzeniach, Duch obejmuje zamek we władanie. W spektaklu, o którym myślę, miejsce króla-Ducha zajmuje król-Fortynbras. Na zakończenie ostatniej sceny „Hamleta” z r. 1964 głośno rozbrzmiewa przerażający śmiech nowego władcy Danii. W ten sposób Duch-Fortynbras ogłasza triumf absurdalnej rzeczywistości. Sytuacji nie można pokonać, jakkolwiek byśmy się w niej zachowali. Sytuacja po prostu jest i nie można z nią walczyć. Ale i poddanie się jest również nonsensem...

**Ewa Borowiecka**  
(studentka filologii polskiej)

Słabością Hamleta jest towarzysząca mu uporczywie refleksja. Jego niezdeterminowanie nie jest jednak nieumiejętnością wyboru między dwiema stałymi ewentualnościami. To jest ciągle na nowo przeprowadzane wartościowanie, wobec coraz innych faktów i sytuacji. Hamlet chce wiedzieć na pewno, ciągle szuka argumentów...

**Krystyna Mróz**  
(studentka filologii polskiej)

Dwudziestowieczna jednostka nie może być Hamletem, może być nim całe społeczeństwo — masa, tłum — dlatego, że władza jest w jego rękach, ono decyduje, ustala, zmienia. Poszczególne czyny i myśli każdego składają się na czyn i myśl Hamleta. Ten zbiorowy Hamlet, Hamlet-kolos, jest imponujący, jest silny, na nim opiera się życie, świat, on nim kieruje, prowadzi go. Hamlet to nie człowiek, to — problem. Problem za duży na możliwości XX-wiecznej jednostki.

**Aleksandra Kmicie**  
(lekarz)

Tę tragedię rodzinną, życia osobistego, Hamlet przeżywa tak, jak tragedię całego narodu. Hamlet myśli, dużo myśli, wątpi, działa. To dramat inteligencji i młodości. Przede wszystkim młodości...

**JADWIGA BIADUŃ**

Na ulicy

Dziewczyna  
o chępliwych nogach  
w strojnych bucikach  
nagli dzień do pośpiechu  
gdy mija wózek kaleki  
nie umie już wystukać:  
tańczę więc jestem!  
odwraca oczy  
znów się potknęła radość  
o widmo wojny.



przeciw prowincjonalnej tradycji, oparty wszelako właśnie na owej tradycji, posługujący się specyfiką. Bunt, który po latach pokornego wyczekiwania na centralne okólniki i dotacje wydaje się czymś niesłychanie istotnym. Który potrafi dostosować się do ogólnych kierunków naszej polityki kulturalnej — bo przecież prochu tu nie wymyślono, ani Ameryki nie odkryto, ale który czyni to z pełnym uwzględnieniem lokalnych stosunków i warunków. Ani model jeleniowski nie pasowałby do Suwalszczyzny, ani suwalski do Jeleniej Góry: Inne orzechy mają do zgrzyżenia Katowice, a inne Białystok. Oto ta sama telewizja: w Katowicach 380 tysięcy zarejestrowanych aparatów, miesięcznie przybywa 4 tysiące nowych teleabonentów, w Białymstoku 10 tysięcy teleabonentów, a przybywa miesięcznie 500. *Toutes proportions gardees*, bo telewizja białostocka liczy na dobre rok, a katowicka lat blisko dziesięć. Zresztą — warto zapoznać się, jak kształtują się przeciętne zarobki pracowników, zatrudnionych tu i tam, ile jest placówek kulturalnych, jakie są kierunki rozwoju kultury, jaki jest stosunek rad narodowych do związków zawodowych i rad zakładowych. To są rzeczy niesłychanie istotne dla ogólnych kierunków rozwojowych naszej kultury. O tym nie wolno zapominać.

W Krynicach, 16 km od Białego-stoku, przy szosie do Grajewia, wznosi się 220-metrowy maszt radiowej i telewizyjnej stacji nadawczej. Różnie mówią o pochodzeniu tego masztu, jesteśmy bowiem krajem, o którym się nie śniło Alicji z krainy czarów. W Bytkowie pod Katowicami wznosi się także maszt, a obok ośrodek nadawczy. Katowice zajmują w ogólnopolskim programie telewizyjnym drugie miejsce po Warszawie, Białystok w ogóle w tym programie nie istnieje. Ośrodek w Bytkowie gnieździ się w ciasnych budynkach, próby odbywają się na korytarzu, człowiek siedzi człowiekowi na głowie. W Krynicach przybysz wkracza do szklanych domów: wewnątrz tej stacji przypomina fabryki przyszości, panuje tu cisza, szpitalna niemal czystość, świetnie skomponowana z rzetelnym osiągnięciem plastyków-projektantów. Stacja, budowana na wyrost: nie zaskoczy jej nawet wprowadzenie telewizji kolorowej, co, jak wiadomo, można na razie między bajki włożyć. Stacja o zasięgu stu kilometrów, ogarniająca całe województwo z wyjątkiem Górnego Śląska, która usadowiła się w niecce, w martwym polu telewizyjnym. Bogate Katowice, pozostawione przez centralne planowanie inwestycyjne na lodzie, jakoś sobie chyba poradzą z budową nowego ośrodka. O ileż uboższy Białystok już sobie poradził. Dysproporcja? Tak, dysproporcja jakże znamienita: tam treść, nie znajdująca formy, tu forma, nie znajdująca treści. Ale mierząc postępy Katowice na metry, tu musielibyśmy mówić o kilometrach: taki już jest Białystok, kot w butach, ale bez rękawiczek.

Treść Białegostoku: środowiska twórcze. Można o nich mówić wiele i nie. Wiele, stosując porównania historyczne, niewiele, opierając się na kontrowersjach geograficznych. Oczywiście w porównaniu z Warszawą, czy Krakowem, Białystok jest zaledwie kulturalnym embrionem, (chyłąc czoła przed wszelkimi kulturalnymi tradycjami tego ośrodka). Ale w porównaniu z Białymstokiem anno 1954 czy 1955? A przecież te rzeczy są przede wszystkim ważne.

Przed kilkoma tygodniami szedł w programie telewizyjnym film o dzisiejszym Białymstoku. Nie przecukrowany, rzetelny reportaż, nieco schematyczny, ale zaskakujący. Schematyzm tam tylko bywa nudny, gdzie opowiada trzymy ogólnie znane, a tu mieliśmy do czynienia z odkryciem kontyentu dobrej nadziei. Nowe dzielnice mieszkaniowe, szerokie arterie, ruch w śródmieściu, neony. Neony, które tutaj, jak rzadko w którym innym mieście, musi zatwierdzać specjalna komisja opiniująca przy Wydziale Kultury, w skład której wchodzi plastycy.

Zacznijmy wobec tego od plastyków. Przed kilkoma laty wydziwiałem na gigantycznego jelenia, który straszny na ścianie sali domu związków zawodowych. Zdawał się on pięknym symbolem tutejszego środowiska plastycznego. Nie jestem skłonny do nadmiernego optymizmu, ale ogólny wygląd Białegostoku, a nade wszystko zainteresowania dzisiejszego środowiska plastyków białostockich świadczą o czymś zupełnie innym.

Białostocki ośrodek plastyczny skupia około 40 praktykujących plasty-

ków: jest to bodajże najsilniejsze środowisko twórcze w tym mieście. Są to przeważnie młodzi ludzie, absolwenci wyższych uczelni artystycznych z Krakowa, Gdańska, Warszawy. Niedawno powołano do życia białostocki okręg ZPAP, ma on na swoim koncie 19 własnych wystaw, także i poza Białymstokiem, także i w Warszawie. Przy czym ta ostatnia ekspozycja zyskała bardzo przychylne krytyki warszawskiej prasy. Nie jest możliwa taka aktywność bez szczególnej atmosfery: udało się władzom wygospodarować dla tutejszych plastyków 14 pięknych pracowni w nowym budownictwie, co, jak wiadomo, niezbyt projektantów owego budownictwa na ogół obchodzi, co jeszcze mniej w skali krajowej obchodzi wykonawców. Oczywiście, pracowni na poddaszach wosny nie czynią: nadal nowe osiedla budowane są we wspaniałym odosobnieniu od wszelkich placówek kulturalnych, albowiem dla projektantów ważniejsza jest odpowiednia ilość luksusowych kwiatarni i placówek DESA, niż jedno skromne kino, niż jeden niewielki lokal biblioteczny, czy klubowy. Pod tym względem i w Białymstoku niczego nie wywojowano. Polacy są mądrzy po szkodzić niezależnie od miejsca zamieszkania.

## PRZYŁĄDEK DOBREJ NADZIEI

Ale przepraszam: twórcy nie zawsze tkwią głową w chmurach. Ształugi? I owszem. Stosuje się zakupy, rozdziela nagrody, wtrzytnia te płótna różnym instytucjom, skoro zabrakło już prywatnych mecenasów i kolekcjonerów. Ale najważniejsze są realne próby przystosowania się do warunków i okoliczności, Białystok i okolice — to przede wszystkim rozwinięty przemysł tkacki. Dlatego właśnie w Supraślu powstało rzadkie w kraju Liceum Sztuk Plastycznych, specjalizujące się w zdobnictwie tkackim, dlatego opracowano obszerny program upowszechnienia plastyki wspólnie z miejscowymi związkami zawodowymi, dlatego powołano do życia przy związku budowlanych lektorium wychowania estetycznego, dlatego także studium wychowania estetycznego czynne jest przy klubie związków zawodowych, dlatego wreszcie plastycy zaczynają być doradcami w poszczególnych zakładach pracy: zorganizowano już taką naradę w Fastach, gdzie plastyk miał referat o urządzeniu wnętrza. Gdyby z biegiem lat tkaniny białostockie zyskiwały sobie szczególną renomę ze względu na ich oryginalne i piękne wzornictwo (a tradycje są pod tym względem na terenie Białostockiej spore), gdyby zdołały zakasować mocno pod tym względem zawiązane próby i poszukiwania łódzkie, gdyby wreszcie wszyscy białostoccy plastycy jeździli własnymi Wartburgami, można by było ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że dla plastyki zrobiono tu wiele i zrobiono dobrze. Wprawdzie kiedyś Adolf Rudnicki po dziesięćminutowym wpatrywaniu się w obrabiarkę zwątpił, czy z tego można zrobić sztukę, było to zwątpienie trochę snobistyczne i nie z tej branży: można bowiem z maszyn robić dzieła sztuki. Przykład dają nam pod tym względem Włosi.

Może to jest muzyka przyszłości; inaczej jednak potrzebny trzeba na przyszłość muzyki. W czasie zajadłego i trochę przypadkowego plebiscytu na „Polaka 63”, który ogłoszono i w tym roku w dzień noworoczny nasza telewizja, parę milionów ludzi w kraju oglądało Jana Kulaszewicza i jego orkiestrę symfoniczną. Dziesięciolecie ten zespół dał się już poznać, i to z dobrej strony, exemplum Ciecchocinek. Nie z amatorszczyzny, wiele z rzetelnego talentu, któremu niestety rzadko dają satysfakcję krytycy warszawscy. Taki zespół musi posiadać swoją bazę wychowawczą, i na odwrót, jest nieodzowny dla ukształtowania specyficznej atmosfery, która czyni ze 132-tysięcznego miasta poważny ośrodek muzyczny. Mam na myśli istniejącą tu średnią szkołę muzyczną, mam na myśli Białostockie Towarzystwo Muzyczne, które otacza opieką około 60 ognisk muzycznych na terenie całego województwa. Śpieszmy się: zanim zwycięży telewizja, można nauczyć młodych muzykować. Nie tylko na gitarze. I nie tylko bez pomocy nut, za to z pomocą nóg.

Inicjatywa społeczna zresztą długi czas nie miała na tym terenie głosu. Do tej pory pojmują ją tylko nieco urzędowo: w Suwałkach pod tym słowem rozumie się urzędowo nakazaną, choć wcale nie urzędowo rozwijającą się komisję koordynacyjną, czy też równie z inicjatywy i pomysłu jednego z departamentów Ministerstwa Kultury i Sztuki powstałe koła przyjaciół bibliotek, jako też teatru. Dobrze jednak, gdy centralne inicjatywy spotykają się w terenie z jakimiś własnymi przemyśleniami, gdy kształtują się one na wzór i podobieństwo własnych tradycji i potrzeb. Publicyści, szukający tu społecznego zachodnich pomysły uroczystego inicjowania na wpol urzędowych Towarzystw Kultury, pokrywających się terytorialnie z poszczególnymi województwami, nie zostali na tym terenie, w Białostockiem, czy Lubelskim, opacznie rozumiane i skopiowane, nie masz bowiem piękniejszego sposobu na ponowną gładziszalzację i centralizację, a także etatyzację naszego życia kulturalnego. Jakaż bowiem różnica między dawnym centralnym zarządzaniem „w pionach”, a obecnym za-

rzędem takiego towarzystwa, w skład którego wchodzi sekretarz KW, przewodniczący prezydium WRN, przewodniczący WKZZ itd., itp.? Co się zmieniło? Tyle, że sobie teraz ci codziennie spotykający się panowie pogadają przy okazji również o kulturze. Można i tak, ale niekoniecznie wszędzie tak samo.

Z ruchem społecznym na dzisiejszym „etapie” bywa bardzo różnie. Z cudownego dziecka wyrosło grzeszne chłopię, które rokuje niezłe nadzieje w granicach przeciętności. Woda święcona jest w rzeczywistości zwyczajną wodą, ale dla wierzącego zawsze pachnie jakoś inaczej. Nie odbieramy więc sobie złudzeń, nie zapominajmy zasług: przecież nie kto inny, tylko my sami dokonaliśmy owego aktu święcenia. Tak więc z szczerym nabożeństwem obserwować można działalność Białostockiego Towarzystwa Naukowego, „The Białystok Scientific Society”, jak wyczytałem na pięknie wydany albumiku na użytek kongresu archeologów w Rzymie, który traktuje o wielkim hobby naukowym Białostoczyn — Jaćwingach. Z tymi wykopaliskami jaćwińskimi jednak bywa tak, jak z niektórymi regionalnymi inicjatywami: jakkolwiek Komplexowa Ekspedycja Jaćwińska uczyniła wiele ruchu w środowisku naukowym białostockim, przecież skrzętnie wycyściła kurhany w trzech powiatach, uwożąc ze sobą wykopaliska do Warszawy, gdzie obejrzeć je można na witrynie przy Alejach Jerozolimskich; działo się to na oczach zrozpaczonego kierownika muzeum w Suwałkach, mgr Zygmunta Filipowicza, jedynego muzeum, które miało do Jaćwingów największe prawo. Cóż jednak mają mówić mieszkańcy Egiptu? Tak oto w równe 681 lat po tragedii staropruskiego plemienia mieszkańcy owych powiatów nie mogą jej zdyskontować.

Ale Jaćwingowie przysłużyli się Białostockiemu Towarzystwu Naukowemu, to pewne, zresztą szlachetne hobby, grzebanie w popiołach i urnach, nie zamyka białostockim naukowcom oczu na inne epoki. I ma ją nastąpi otwarcie Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, są projekty opracowania monografii Dwudziestolecia. Archeologia bywa w niektórych rejonach i środowiskach wygodnym parawanem, który ma kryć eskapizm od współczesności. Tu — miejmy nadzieję — do tego nie dojdzie.

gorzej widzieć się środowisku literackiemu. Zjawisko eskapizmu literackiego staje się w Białymstoku niepokojące. Członków Związku Literatów Polskich na lekarstwo: piątka według statutu nie wystarcza na powołanie do życia samodzielnego oddziału. Kto się upierzy, ulata do Warszawy, innych więc nolens volens warunki papierowe utrzymują w niemowlęctwie. Ani prasa nie daje tu pola do wzrostów, ani notable: Klub Literacki jest sitem zbyt słabym, aparatem zbyt niedoskonałym, aby ema-

nowal na środowisko. Tak więc Białostoczyni peregrynują przetrwać pisarze, tylko nie rodzimi. Cóż uszła stąd nawet Konopnicka...

Nie jest więc Białostoczynia okolicą poetów. Może ten niedostatek atmosfery literackiej oddziaływała także na miejscowy teatr? Z przeglądów teatrów rufskich częścię wraca on na tarca, niż z tarca, zmiany dyrektorów nie wychodzą mu na dobre, straszny państwimi miejscami zbyt obszerna widownia, jak na lokalne potrzeby i przyzwyczajenia, widownia. Nawiazano, niki współpracę z Warszawą, grany był gościnnie „Brytanik”, ale czym się zrewanżować? Zle połączenia kolejowe z Lublinem są symboliczne: Białystok bardziej patrzy na stolicę, niż koleguje z Lublinem, przynajmniej teatralnie, ale nie tylko: do stolicy mu bliżej, ten ponaddwugodzinny dystans ciąży mocno na ośrodku białostockim, wody są zbyt płytkie, aby nauczyć się samodzielnie pływać. Krystalizacja własnego ośrodka z tych właśnie powodów napotyka na trudności. Białystok leży za blisko Warszawy. Takie położenie geograficzne rozleniwia.

Słucham przez radio felietonu Ireny Czech: autorka skarży się, że ludzie w Białymstoku nie nauczyli się jeszcze mówić o teatrze im. Węgierki „nasz teatr”. Aleksander Węgierek, znakomity inscenizator Shawa i Beaumarchais, Giraudoux i Szekspira, prowadził teatr białostocki tylko dwa lata, bo do rezygnacji zmusiła go wojna. Jaka wojna zmusza kolejnych dyrektorów teatru białostockiego do tak częstych dymisji? Teatr, aby być „naszym” teatrem, musi mieć swój profil. Teatr bez profilu przechodzi mimo naszych oczu, jak tuzinkowy przechodzień. Nawet mimo szlachetnych „Propozycji” i utalentowanych prób Kariny Wańkiewicz.

Marino Marini uśmiecha się z szyby wystawowej, grzybie w zamknięciu ołówka. W Białymstoku nie ofiarują mu Iwa. Młoda tutejsza „Estrada”, działająca na zasadzie impresaria, gdyż na własny zespół jeszcze się nie zdobyła, oferuje mistrzów kra'owego big-beatu, „Niebiesko-Czarny” Walaska i Wicharego, szykuje „Mikrobus Kulturalny” na Dni Oświaty, choć własnym środkiem lokomocji nie dysponuje. Uczmy się handlować kultura, może nawet od Marino Mariego: to także jest big business, tylko że myślny o tym dawno zapomnieli. Kultura? Zaden interes. A jednak: „Estrada”, „planuje” tylko 300 tys. zł strat — zawsze przeraża mnie to planowanie strat, albowiem gdzie są zyski? — przekracza owe straty tylko o 97 tys., ma więcej widzów, niż planowała, a do lebaka dopłaca tylko 2,70 zł. Cóż to znaczy wobec owych 300 zł, które ma się dopłacać do jednego widza w warszawskim „Strasnym Dworze”, przy przy Pl. Teatralnym? Teraz w sukurs idzie Łomża, Białostoczynia przestaje być województwem jednego miasta. Łomża ze swoimi aspiracjami, z gościnnością, z rosnącym anetytem.

Dajmy jednak spokój Łomży: za wielka. Są Suwałki, jest Augustów, Konopnicka, jako się rzekło, mimo autorstwa słów „Nie rzucim ziemi” — rzuciła Suwalszczyznę, choć w wieku zbyt młodym na świadomy wybór. Pani Jadwiga Towarnicka, kierowniczka ślicznej, jedynej w kraju, zbudowanej od podstaw biblioteki powiatowej i miejskiej, gdzie gustowne mebelki i Henryk Syska, cytowany w hallu niczym klasyk — nie jest całkowicie pewna, pokazując mi kolumnowy, obszerny dworek z wmurowaną stosowną tablicą, czy tu faktycznie urodziła się autorka „Roty”. W Suwałkach zresztą wszystko jest przepojone Konopnicką: ulica Konopnickiej, i plac Konopnickiej, i szkoła Konopnickiej, i biblioteka Konopnickiej, i pomnik Konopnickiej dłuta Chmielewskiego. Ale w bibliotece, jak zresztą każdej, brakuje książek dla dzieci, i mimo końca marca zasy odcinają wsie od miasteczka. Więc żyją Suwałki wcale intensywnym życiem własnym: atmosferę zaś czynią tu ludzie. Tych kilka osób, znanych mieszkańcom na pamięć: założyciel muzeum, niestrudzony społecznik Antoni Patla, wspomniany już dyrektor muzeum Filipowicz, kierownik Wydziału Kultury Lech Ziólek, kierownik Powiatowego Domu Kultury Bolesław Walczuk. Oto cała komisja koordynacyjna, ciało jak najbardziej społeczne. Zastanawiałem się, dlaczego powiecie koordynacji, tak gdzie indziej wstydliwe i drażliwe, w powiecie tym jest czymś powszednim, jak chleb bez masła. Teraz już wiem: decyduje tu bowiem równowaga sił kontrahentów. Związki zawodowe wcale nie muszą się tutaj puszyć: są słabe, bo i prze-



# Augustów jeziorami pachnący

JERZY DOSTATNI

JUŻ na samym wstępie zostałem ukarany za to, że zachciało mi się w zimie oglądać Pojezierze Augustowsko-Suwalskie. Zamiast bowiem w Białymstoku wsiąść do autobusu i przejechać tylko 105 km, wybrałem się do Augustowa koleją. I dopiero, gdy mijam Grajewo, Elk, Olecko i, zataczając olbrzymi krąg, najbardziej na północ położone Suwałki — doliczyłem się, iż nadrobiłem 102 km. Ale mimo to nie żałowałem. Na kalendarzu wprowadzie był pierwszy dzień wiosny, ale za oknami przesuwają się coraz piękniejsze tereny narciarskie. W kilkudziesięciocentymetrowej warstwie śniegu kapało się słabe, wyblądle po zimie słońce. Nad jeziorami, na licznych przecinkach leśnych, wspaniale zjazdy. Wprawdzie nie udało się tam znaleźć niczego na podobieństwo Kasprowego Wierchu, ale tysiące pagórków tworzą doskonale trasy zjazdowe dla tych, którzy nie uważają się za mistrzów slalomu.

Wprawdzie tu i ówdzie można było zobaczyć grupki narciarzy, jakieś wycieczki czy kursy — ale przecież to nieśmiały jeszcze załazek narciarskiej kariery, jaką może i powinno zrobić Pojezierze Augustowsko-Suwalskie. Stoi więc przed tym rejonem wielka szansa na dwa sezony wypoczynkowo-turystyczne: letni i zimowy. Nawet bez wielkich nakładów finansowych, bo hotele, schroniska, restauracje — podstawowa baza — istnieje. Trzeba tylko właściwej organizacji i odpowiedniej reklamy. W sezonie letnim sam tylko powiat augustowski gości ok. 150 tys. ludzi z całego kraju oraz — po raz pierwszy w roku ub. — 366 cudzoziemców z dewizami. Gdyby chociaż połowę tego udało się przyciągnąć urokami zimy, która jest tam równie długa jak w Tatrach...

Powiat augustowski ma 33 jeziora — jedno piękniejsze od drugiego. Cztery z nich perlistym wieniec w lecie, a białymi płaszczkami w zimie otaczają miasto. Przycupnęło ono tutaj przed 407 laty na mocy przywileju Zygmunta Augusta, od którego wzięło i nazwę, i herb. Mimo tak wielkiej tradycji i królewskich koligacji nie brakuje miastu kłopotów. Mówi o nich p. Wasilewicz, przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej:

— Mamy trochę żalu do władz wojewódzkich. Jeszcze w r. 1959 Prezydium WRN na sesji wyjazdowej u nas zatwierdziło budowę kanalizacji w Augustowie. Ale do dzisiaj nie zrobiono nawet dokumentacji do niej. Ba — brakuje koncepcji, gdzie ją przeprowadzić. Latem turyści jakoś dają sobie radę, chociaż to niehygienicznie — ale zimą? Ponadto boimy się ulepszać ulice, aby potem nie mówiono, że u nas ciąg-



Narciarze wśród domków campingowych

le wykopki. W tegorocznym planie znalazł się wreszcie pierwszy milion na wodociąg, ale dla odmiany nie możemy znaleźć wykonawcy. Daremnie stukamy o środki na budowę łaźni. Odpowiadają nam w Białymstoku: „Macie przecież jeziora!” Mamy, prawda, ale to przecie dwie różne sprawy. No, a jeżeli rozkręcimy sezon narciarski, to chyba wypadnie potem wmawiać narciarzom, aby kąpali się w przerębłach?

— Wynika z tego, że przejście także na turystykę zimową jest trudniejsze, niżby się pozornie wydawało. Myślę jednak, że mimo wszystko warto się zabrać do tej sprawy. Trzeba przyznać, że budujecie dużo. Spacerowałem dość długo po mieście, zwiedziłem kawalek powiatu. Macie tu w Augustowie piękny hotel PTTK — chociaż ceny w nim wyższe, niż w reprezentacyjnym hotelu Białegostoku. Widziałem kilkanaście ładnych bloków mieszkalnych, dużo domków jednorodzinnych...

— No tak, nie można narzekać. Nasz powojenny bilans w mieście to 8 bloków państwowych i 4 spółdzielcze oraz 577 domków prywatnych i 400 budynków gospodarczych. Razem kosztowało to chyba ok. 120 mln zł. W powiecie chłopcy wybudowali, w dużej mierze za pożyczki od państwa, 1.720 domów i 3 tys. budynków gospodarczych. Jest to niemal w całości budownictwo murywane, przed wojną używano prawie wyłącznie drewna. I dlatego mamy teraz dużo kłopotów z remontami. Myślę jednak, że odbudowa byłaby jeszcze szybsza, gdyby zarówno miasto, jak i powiat, miały plany zagospodarowania przestrzennego. Miasto miało, ale plan poważnie się zestarzał, a zatwierdzenie nowego przeciąga się.

— Główny architekt województwa

mówił mi, że go właśnie wczoraj zatwierdzono.

— Bardzo się cieszymy, ale szkoda, że tak długo trwało. To ham nieco przeszkadzało w rozbudowie przemysłu, chociaż i tak mamy się czym pochwalić. Naszą chlubą jest fabryka obuwia, w której pracuje prawie tysiąc osób. Jej budowa kosztowała 30 mln zł. Następnie Mazurska Wytwórnia Tytoniu Przemysłowego — po lubelskiej i krakowskiej trzecia największa w kraju. Za tytoń nasi rolnicy otrzymali w ub.r. 83 mln zł. To okazały zastrzyk finansowy. Tradycje uprawy tytoniu mają u nas już sto lat i w niektórych gatunkach mamy najwyższe plony w Polsce. Na budowę tej wytwórni państwo dało 60 mln zł. Oplaciło się i państwu i nam. Chlubimy się też naszym tartakiem. To jeden z najbardziej nowoczesnych w Polsce, warto tam zajrzeć. Szpital, mieszczący się przed wojną w małym baraku, otrzymał nowoczesny budynek, a w nim 220 łóżek. W najpiękniejszej części miasta, tuż nad jeziorem Białym, budujemy studium nauczycielskie. Razem z położonym obok liceum pedagogicznym oraz internatem utworzy ono cały kombinat. Część placu województwo opolskie, z którym od lat ściśle współpracujemy. To jakby spłata naszego długu wdzięczności wobec nauczycieli. To właśnie Związek Nauczycielstwa Polskiego odkrył w r. 1928 nasze pojezierze, budując tu pierwszy ośrodek wczasowy. Ostatnio zaś właśnie także ZNP przełamał opory, które przeszkadzały u nas rozpowszechnieniu się budownictwa spółdzielczego.

— Należyście do jednego z pięciu najsłabiej zaludnionych powiatów w Polsce. To niewątpliwie stwarza duże trudności w różnych dziedzinach?

— Tak, chociażby dla przykładu w szkolnictwie. Przed wojną tylko co dziesiąty mieszkaniec powiatu umiał czytać, a właściwie sylabizować. Dzisiaj co piąty to uczeń jakiejś szkoły lub kursu. Co roku budujemy 2 szkoły, mamy ich już 79, a przed wojną 47. Dokładnie czwarta część budżetu powiatowego idzie na budowę szkół.

— A mimo to, jak mi mówiono, nie możecie się dorobić własnej kadry ludzi z wyższym wykształceniem?

— Niestety prawda. Młodzież po skończeniu studiów ucieka do większych miast, czasem do innych zawodów. To chyba ogólny pęd do zmiany warunków życia. Tak czy inaczej na 28 pracowników rolnictwa w radzie narodowej nie mamy ani jednego inżyniera. Nawet, kiedyś taki przyjechał, oczywiście zaraz daliśmy mu mieszkanie. Ale on pytał nie o mieszkanie, tylko o to, czy można zarobić „na boku”. Nie zarobił, bo go nie przyjął. Trudno na tym przykładzie uogólniać sprawę, ale przykro było. Czasem powstają inne paradoksy. Dla miejskiej pracowni urbanistycznej, tak bardzo nam potrzebnej, otrzymaliśmy nawet trzy etaty. Ale cóż z tego, gdy miesięczny fundusz plac wynosi tylko 4,5 tysiąca zł. Jak tu zmieścić inżyniera i technika? No i pracownia istnieje tylko na papierze.

Doprawdy nie wiem i ja. Zresztą niech się tym martwi inż. Bielecki, główny architekt województwa. Pewnie znajdzie jakąś radę, bo to człowiek zakochany i w swoim województwie i w swoim zawodzie. Ja wybier-

am się do tartaku, o którym tutaj cuda opowiadają. Ze największy w Polsce, a najbardziej nowoczesny w Europie. Ta nowoczesność polega na wykorzystaniu wody jako naturalnych magazynów i ciągników transportowych. Rzeczkami i jeziorami spływają pod tartak tysiące długich bal, pachnących nawet teraz, na przełomie zimy i wiosny, lepka żywica. Bale całymi miesiącami leżą w wodzie, co zapobiega powstawaniu choroby, która nazywa się sinicą. Potem już specjalnie zbudowanymi kanałami spływają pod maszyny, które tną te bale na długie, równiutkie deski. Niemal wszystko pierwszy gatunek, na eksport do krajów zachodnich.

Za tartakiem leży cypel leśny Lisi Ogon, podobno jeden z najpiękniejszych zakątków Augustowszczyzny. Chciały tu postawić domki campingowe lub domy wczasowe niemal wszystkie fabryki, zgłaszające się z całego kraju. Ale miejscowe władze, chociaż mają z tego powodu sporo kłopotów, postawiły sprawę twardo: najpiękniejsze miejsca muszą być dostępne dla wszystkich. Nie damy tam nikomu wyłączności.

Chodzę po przedmieściu Lipowiec, właśnie tam, gdzie znajduje się tartak i nagle sam siebie pytam ze zdumieniem: w Zakopanem jestem czy w Augustowie? Domki bardzo podobne, drewniane, z drewnianymi dachami ostro wspinającymi się w niebo, ozdobione niemal identycznymi rzezbami. Stoją nieco bokiem do głównej drogi, jakby się boczyły na tych, którzy tu przychodzą. Ale to tylko pozory. Latem utoną w zieleni tysięcy drzew i kwiatów, przyjmując ochoczo każdego, kto przyjedzie tu odpocząć.

Po drodze przylączyła się do mnie jakiś tubylec, który chętnie pełni rolę przewodnika. Opowiada więc różne historie o losiach i cietrzewiach, żyjących w augustowskiej puszczy, o niemych labędziach i czarnych bocianach, bobrach i borsukach. O jednym w Polsce rezerwacie tundry nad Czerwynym Bagnem, uroczysskach Kozł Rynek czy Święte Miejsce, wreszcie frywolnie o cyplu Gołą Zośka na jeziorze Rospada.

— Czy pan wie — pyta wreszcie — że mamy tu blisko doskonałą borowinę?

— Pierwszy raz o tym słyszę. — To nie żadna tajemnica, od lat projektuje się budowę sanatorium dla tysięcy chorych, ale jakoś brak pieniędzy. Może będą w przyszłej pięcioletce. Ale co innego chciałem powiedzieć. Pewien inżynier, korzystając zapewne z osobistych znajomości, zdołał przekonać kilku Amerykanów, że opłaci się im importować naszą borowinę. Zawarł umowę i zabrał się do dzieła. Ale w sprawie wniósł się wydział finansowy i wymierzył inżynierowi taki podatek, że rzucił wszystko. No i borowiny nie eksportujemy, a do kasy nie wpływają ani grosze, ani złotówki. Chyba ktoś tu mocno przejął palkę. A wie pan, co nas tu jeszcze irytuje?

— Znalazłoby się, jak wszędzie, kilka spraw. Nie od razu Augustów zbudowano i urządzono.

— Oczywiście. Ale sprawa kart wędkarskich jest doprawdy irytująca. Wśród 150 tysięcy turystów, którzy

(Dokończenie na str. 9)

myśl nie jest zbyt silny. Rady Narodowe mają więc swój mir, a budżet ich traktowany jest z należnym szacunkiem. Sypną więc czasami groszem z nadwyżek budżetowych. Właśnie widzę w Suwałkach, jak cała komisja koordynacyjna zaciera z uciechy ręce: spadło jej 200 tys. zł. Będzie czym zatykać dziurę!

A ta biblioteka Konopnickiej z Sy-ską na honorowej ścianie — to z funduszy SFOS. Dużo buduje się tu ze środków SFOS. Dom Kultury w Olecku, w Elku, w Kuźnicy (z szykanami, wiadomo — granica), w Bielsku Podlaskim, w Siemiatyczach, kino w Sokółce. Bierze podziw. I zazdrość. Zwłaszcza w Augustowie.

Reklamy miasteczku robić nie trzeba. Jeżdżą tu latem ministrowie i autostopowicze. Lato ma to jednak do siebie, że mija: jesienią zaś Augustów mówi dobranoc i idzie spać. Gdzie ma bowiem udać się po zachodzie słońca? Na słowo koordynacja w Augustowie chwytają za rewolwer. Dom Kultury? Wystarczą dwie niewielkie salki. Poradnia powiatowa? Wystarczy ciasna kłitka, gdzie i kuchnia, i umywalka na stoliku (miednica, ręcznik, taboret), i buty suszące się na piecu. W deszczowe dni letnie turyści ziewają szeroko, w jesienne tubylcy idą spać z kurami. Dwieście metrów dalej w odremontowanej (latami) tzw. „Starej Poczcie” pięknie urządzona biblioteka i jeszcze piękniej, luksusowo wręcz — ośrodek PTTK.

Nowiutkie meble, wielka sala, z której nie bardzo ma kto korzystać, bar. Podobno sam towarzysz Reczek sypnął groszem. Za łóżko na dobę — 50 zł. Grajmy, przyjaciele, w orla i reszkę! Dla dobra kultury wolałbym, aby zawsze wypadł — Reczek. Sport — bogaty wujaszek — ma pieniądze. Jest to jednak rozwój społeczeństwa dosyć jednostronny — w zdrowym ciele mieścić się bowiem niebawem będzie — słabowity duch, niedokarmiony duch. Duch trwożliwy, zwłaszcza przed komorą celną.

Białostoczczyzna — kraina kontrastów, przylądek dobrej nadziei. Można pisać jeszcze o niej długo, mniej lub bardziej zawile. Wiem, że narażam się na zarzut powierzchowności, czasem jednak lepiej obserwować pewne rzeczy z dystansu i nie zawsze dawać wiarę ploteczkom, usłyszanym w białostockim MPiK-u. Nieraz lepiej odwieść ją od czasu do czasu, niż mieszkać stale pod jednym dachem. Jednym z największych wrogów instytucji małżeńskiej jest wspólna sypialnia.

Bilans ten w ostatecznym rachunku wypada nad podziw dodatnio. Pamięć ludzi i świadomość ich zapалу zmusza do optymizmu. Tutaj lata, jak na froncie — liczą się podwójnie. Tutaj chadza się w siedmiomilowych butach kulturalnych pięcioletek. Fakt.

Leszek Goliński



ZNOWU epidemia. Przyszła, jak przychodziła przedtem, niemal co roku. I znowu przyniosła śmierć. Jedną, drugą...

Ludzie kięli w żywy kamień, ale nie umieli znaleźć rady.

— Taki już los — mówili. I po tyśiąckroć wylizali swoje żale. Ze kobiety piorą białiznę w pełnym mazi- stej cieczy i cuchnącym bajorze. Ze z korbą w stumetrowej studni trzeba szarpać się aż we dwoje. Ze za wia- dro wody na ugotowanie obiadu trzeba odrabiać w żniwa pracą od świtu do nocy. Ze na trzyhektarowej gospodarce nikt na własną studnię nie wyrobi.

— Nie nasza wina. — Usprawiedli- wiali się przed sobą. I narzekali jesz- cze bardziej. Bo przez tę wodę, do której w całej wsi nie można się by- lo dokopać wyżej niż na 70 metrach i której nawet w studniach brakowało, przychodzili do wsi choroby i śmierć. A oni umieli tylko narzekać, że desz- czu ciągle za mało i deszczówki nie można nalapać, żeby krowy napoić, albo że znowu go za dużo, bo woda staje w lessowych wąwozach i robi z ziemi maziidło gęste i lepkie, przez które nawet w parę koni nie przeje- dzicie. I tak źle, i tak niedobrze. Mieli za to pretensję do wszystkich, że ich świat, świat Teodorówki, kończy się cały na drodze z domu w pole i z po- la do domu.

Całą nadzieję wtedy stracili, że mo- że zmienić się ich życie. Cały świat zmalał znowu do granic samej Teodo- rówki. Upłynęło trochę czasu, zanim się przekonali, że wodociąg u nich to nie żadne kpiny, że w wielu wsiach ludzie już mają wodę w domach. I znowu duch w nich wstąpił. Pojechali do władz.

— Niech ci spece przyjadą do nas jeszcze raz i niech powiedzą, jak ro- bić wodociąg, a zrobimy wszystko, co trzeba.

— Najpierw światło musicie sobie złożyć — usłyszeli. — Bez światła wodociągu nie uda się uruchomić. Uparli się wtedy, zabiegali na wszystkie sposoby i trzeba ich było w końcu wstawić do planu elektryfi- kacji. W tym samym czasie pojawiło się znowu we wsi jej nieszcześnie — tyfus. Z zaciętości, że choroba dalej ich nęka, niejedni, żeby tylko tyfus można było posiekać, za siekierę by złapał.

Zdunkowi przyszła wtedy myśl do głowy.

— Dopóki wody we wsi nie mamy, choroba od nas nie odejdzie po dobro- mu. Musi ją zatem lekarz ze wsi prze- pedzić — powiedział chłopom.

— Ba, ale jak to zrobić, skoro do najbliższego szpitala jest aż dwadzie- ścia cztery kilometry?

— Jak zrobić? — Zdunek na to z

W związku z ukazaniem się II wydania „Reki” Stanisława Czernika drukujemy omówienie tej interesującej powieści.

Red.

„Przyjaźń z ziemią” — taki tytuł nosi jeden z pierwszych zbiorów wierszy Stanisława Czernika.

W świetle późniejszych osiągnięć tego pisarza, zwłaszcza ostatnich, moż- na powiedzieć, że w tamtym tomiku była dopiero zapowiedź tej przyjaźni, jej przeczcucie, która poprzez folklor, poprzez próbę odnalezienia swego rodowodu — zawarta jest w osiągnię- ciach późniejszych i ostatnich typu „Reki”. Jak całą powojenną twór- czością poetycką Czernika, tak i pro- zą „Reki” rządzi obsesja i komplek- sy. Kompleks chłopieski pochodzi- ni (nie w znaczeniu kompleksu niż- szości, rzecz jasna), kompleks gleby, podglebia, rodowodu. W powieści ostatniej są one natury bardziej szczegółowej: kompleks Wiśniowej Góry (miejsce urodzenia bohatera) i — główny — kompleks ręki.

Schemat powieści ma wątek prosty. Bohater jej po wielu latach nieobec- ności przyjeżdża do brata do rodzin- nej Wiśniowej Góry. Ale to nie zwy- kłe spontaniczne odwiedzenie. Raczej laboratoryjne doświadczenie, w któ- rym — zachowując dystans — boha- ter obserwuje i analizuje swoje (oraz cudze) zachowania i odczucia, odnaj- duje nici łączące go ze środowiskiem, z ziemią, z której wyszedł. Ta posta- wa bohatera, już inteligenta-intelek- tualisty, zostaje mimo zachwiał kon- sekwentnie utrzymana do końca. Cze- go więc Michał (imię głównego boha- tera) szuka w Wiśniowej Górze? Odnalezienia swojego z nią związku, jego potwierdzenia i określenia sie- bie od nowa. Pobyt u brata wprowa- dza go w sprawy i konflikty rodziny, styka go z tajemniczym kompleksem ręki u brata, kompleksem nabytym w partyzantce. Lektura zachowanego wśród pamiątek rodzinnych „żywota” — pamiętnika pradziadka Grzegorza (przypomniana stara konwencja zna- lezonego rękopisu), naprowadza bo- hatera na podobne zjawisko. W wy- niku przeżyć w powstaniu styczni- wym u pradziadka kompleks ręki pojawił się także. Okazuje się więc, że przeżyca, doświadczenia i dyspo- zycje przodka odzwierają się w praw- niku, a następnie w jego synu. Zary- sowałem tu jedynie najprostszy sche- mat powieści, bo jest ona wewnętrz- nie skomplikowana, wielopłaszczyzno- wa, bogata w obserwacje i refleksje, szukająca oblicza teraźniejszości po- przez penetrację w głąb przeszłości.

Sam autor w jednej z wypowiedzi tak ujmuje intencje powieści: jest to „Mobilizacja doświadczeń, próba zsyntetyzowania sondaży w głąb wyobraźni, w mroki otchłannej stu- dni przedistnienia, w świat „widmo- wych” zjawisk, o których się coś wie, chociaż pozostają one poza granicami świadomości”. W powieści tej Czernik nie rezygnuje z postawy autenty- sty, który „nie tylko odkrywa ma- teriał w autentycznych przeżyciach i doznaniach bieżącego czasu, ale tak- że próbuje go odkrywać, sondując samego siebie, w podglebiu, przed- dziejach, w śladach własnego przed- istnienia”. Nie rezygnuje — to za mało powiedziane, bowiem autor uważa „Rekę” za pierwszą powieść autentystyczną, co dodaje jej szcze- gólnego znaczenia. W teorii autenty- zmu, opartego na eksploatacji wła- snego zasobu przeżyć, zawarta jest *implicite* wspomnienność, co tak ostro wytykał temu kierunkowi Ju- lian Przybóś. W „Rece” wspomnienio- wość ta jest żywiołem panującym, zasadniczym twórczym powieści.

Czernik, twórca, teoretyk i prak- tyk autentyzmu, nazwał go, w prze- ciwieństwie do importowanych z ze- wnętrza kierunków poetyckich, zjawi-

# W POSZUKIWANIU RODOWODU

TADEUSZ KŁAK

skiem wyłącznie polskim, określił ja- ko „przejaw własnej myśli poetyckiej bez względu na to, czy ją ktoś okre- śla jako zaściankowo-polską, czy ina- czej”. Nie próbuję tu podważać to- dzimnego (prócz nazwy) pochodzenia autentyzmu. Jako odrębny kierunek artystyczny, o określonej zawartości i systemie założeń jest bezsprzecznie własnością Czernika. Ostatnia jego powieść, tak uporczywie cofająca się w przeszłość, ujawniająca niewiade- me, a przez jego dekonspirację leczą- ca kompleksy i urazy, pozwala jed- nak na autentyzm spojrzeć inaczej. O pewnych swoich skłonnościach po- wie na przykład bohater: „I znowu (...) mam pewne prawo sądzić, że jest to skłonność przywieziona z okresu przedistnienia i to odległego”. O krzyku czołowego bohatera jako dziecka wyraził się tak: „Myślę, że krzyczeńi przeze mnie wszyscy moi przodkowie, których życie było cier- pieniem, i sprzeciwiali się przeze mnie złym losom, ostrzegali przed światem, wnykami i pułapkami cza- jącymi się zewsząd na małego czło- wieka”.

Uświadomienie sobie tkwiących głęboko utajonych atawizmów, odsu- kiwanie wspólnoty i jedności inte- gralnej z przeszłością jest jednym z refrenów książki Stanisława Czernika. W „Żywocie” Grzegorza jest zapisane również takie zdanie: „My- ślę o czymś, co się wysiewa z jedne- go, przechodzi w drugie, kilkule- wprawdzie w łonie matki, nosicielki życia, ale istotę swoją bierze z ojca i ojcowego ojca, i ze wszystkich po- przednich ojców i ich ojców, ilu ich tam było wstecz, aż do pierwszego, najpierwotniejszego...”.

A teraz inny fragment: „Gdzie za- cyna się tedy, gdzie się kończy za- sadna żywotność osobnika? Od ogn- wa do ognia dojdzie się wreszcie aż do najdalszych jego przodków; oka- że się, że jest on w łączności z każdym z nich, z tą małą masą galarety protoplazmicznej, która prawdopo- dobnie znajduje się u podstaw drze- wa genealogicznego życia”. Ale cytat ten nie pochodzi z powieści Czernika. Napisał to Bergson w „Ewolucji twórczej”. Powyższe zestawienie nie dowodzi, że chcę wyprowadzić auten- tyzm z bergsonizmu. Od tego jestem jak najdalej. Wskazuję tylko na zbliżność obserwacji istotnych dla postaw od siebie bardzo odległych. Można także wskazać na podobień- stwo postawy, jaką odczytujemy w „Rece”, do niektórych koncepcji Junga. Chodzi o to, co nazywa on nie- świadomym zbiorowym, o archetypy, które symbolizują naszą wspólnotę z najdalszą przeszłością. Ma on na myśli to, co drzemie ukryte w pod- świadomości, a które objawia się naszym myśleniem, wyobrażeniem o świe- cie, także w sztuce i literaturze. Czernik w swojej powieści na każdej niemal stronie powraca do tych spraw, odnajduje w dzisiejszym czło- wieku to, co jest ukryte i utajone, a legitymuje się bardzo odległym rodowodem, jest dziedzictwem prze- kazywanym z pokolenia na pokolenie.

Nie piszę o tym, by autentyzm de- precjonować, wskazuje przecież na pokrewieństwo i zbliżenia myśli, nie na zależność. Jestem bowiem prze- konany, że każda myśl ludzka jest owocem czasu swego, podlega jego uwarunkowaniom i prawidłowościom. W tych cechach autentyzmu, które akcentuje „Reka”, widzę ten właśnie rodzaj pokrewieństwa. Wydaje mi się nie tożsamy z postawami, o któ- rych wspominałem, ale równoległy, analogiczny, odpowiadający na po- dobne pytania, realizujący podobne psychiczne zapotrzebowania. To nie obniża — w moim przekonaniu — rangi autentyzmu.

W końcu — wracając do powieści — ważne jest co inne: nawet prze- ciwnicy autentyzmu, a tych nigdy nie brakowało, muszą przyznać, że „Re- ka” należy do książek niepospolitych. Proza jej jest niezwykle skupiona, czysta, precyzyjna; słowo jest pisa- rzowi posłuszne, przylega do rzeczy idealnie\*.

\* Stanisław Czernik: „Reka”. Warszawa 1963. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

## PRZYPowieść o wodzie

WŁODZIMIERZ WOJCIKOWSKI

Było tak przedtem, przed wojną. Niewiele też zmieniło się zaraz po wojnie. A przecież władza, za którą krew przelewali, obiecywała im nowe życie. Czekali na nie. A czekanie nic im nie przynosiło. I słyszeli tylko, że partia buduje w kraju wielkie fabry- ki, stawia piękne domy, okręty wysyła za morza, ale oni przez swoje błoto nie mogli się wyrwać w świat ani na krok, by chociaż zobaczyć to wszyst- ko.

— Nie nasza wina. — Machali ręką.

— Wasza — odpalił im na to za którymś razem Grzywna. — Trzeba drogę do wsi zbudować. Sami nie mo- żemy znaleźć rady na nasze kłopoty, to wtedy mądrzejsi ludzie do nas przy- jadą i radę znajdą.

Wybrał go wtedy przewodniczącym gromadzkiej rady. Niech buduje drogę, jeśli powiedział, że potrzebna.

Partia, której wypominali wznoszo- ne w kraju wielkie fabryki, dopomo- ga im wtedy. Dostali na budowę drogi milion złotych. Zrodził się zapas. Cała wieś wyszła z łopatami. Z kamie- niem nie było kłopotu — mieli go blisko. Ale po piach furmanki musiały jeździć kilka kilometrów. Przybywało go powoli.

Przerazili się. — Zbyt ciężką robotę wzięliśmy so- bie na kark. Nie poradzimy. Szkoda mordęgi.

— Pewnie byście chcieli, żeby droga sama się wam zbudowała. Tak jakby do- tął samo coś wam z nieba spadło — przygadywał im Grzywna, Zdunek i inni aktywniejsi. To ludzi przekonano. Wzięli się na nowo do roboty, aż fur- czało. Do tego miliona, co go dostali od państwa, dołożyli chyba drugie tyle w robociznie i pieniądzech.

A potem, w 57 roku, gdy brukar- ze układali już ostatnie kamienie na 4-kilometrowym odcinku drogi, każ- dego aż w gardle coś ścisnęło. W tej szosie były przecież wszystkie ich na- dzieje. Wierzyli, że otworzy im drogę do świata i że przyjadą do nich ludzie, co znajdą radę na te ich „pierońską wodę”. I nie zauważyli przy tym na- wet, jak im samym otworzyły się oczy na świat. Bo ta droga dopiero ich na dobre przekonana, że czekaniem na manę z nieba nie się nie wywojuje, że trzeba brać się wspólnie do roboty i starać o swoje potrzeby. Zaczęli się oddać starą i to zawzięcie. Trafili ze swoim największym kłopotem do władz powiatowych w Biłgoraju, do władz wojewódzkich.

— Poczekać trochę — odpowie- dziano im. — Przyślemy do was spec- jalistów.

Nie mogli się ich doczekać. Aż wresz- cie spece się zjawili.

— Trzeba we wsi zbudować wodociąg — orzekł. — Nic innego was nie uratuje.

Chłopów jakby gwałtem ukąsił. Co po- niekiedy nawet cholerować zaczął.

— Wykpił nas tu przyjechał. Wodociąg we wsi chcą budować! Gdzie oni na wsi wodociąg widzieli.

Furmankiem i innymi, co z nimi ra- zem tę myśl podjął. — Spółdzielnię zdrowia trzeba w Teodorówce złożyć.

— Spółdzielnię? Ale gdzie, jeśli we wsi nie ma budynku, który nadalby się na ten cel?

Zdunek się zdecydował. — Swój dom oddam. Zanim spół- dzielnię pobudujemy, do swego domu doktora wezmę.

20 chłopów go poparło, potem 50 za- pisało się do spółdzielni, wreszcie 100 i 300.

W styczniu 1962 roku spółdzielnia rozpoczęła pracę. Służy 7 tysiącom lud- zi z okolicznych wsi. W 1962 roku zabłysły też żarówki w oknach teodo- rowieckich zagrod. Pojaśniało na wsi i w ludzkich sercach. Do zrobienia po- została tylko rzecz najważniejsza — wodociąg.

Każdy niemal codziennie zaglądał na plac, jaką wkrótce po tych wydarze- niach przyjechali robotnicy i zaczęli wiercić studnię głębinową. Życie we wsi stało się nerwowe. — 30 metrów wywiertu, 40, 50 — pokaże się woda czy nie? Czy skończą się wreszcie utrapienia? Niechże robią prędzej, niechże wreszcie poleje się szerokim strumieniem woda, której przez tyle lat mieli za mało.

Wywiert pogłębiał się. Ale woda się nie pokazywała. Wreszcie ulga. Na znacznej głębokości trysnęła. Lud- ziom bardziej zapałonym do wodocią- gu aż się od tego w głowie zakolowało. Bo co dużo gadać — niekiedy to i lę ukradkiem z oka ocierał.

Rozpoczęło się próbne pompowanie. Przez 72 godziny bez przerwy chodziły pompy. Czy wystarczy wody dla wszystkich? I dla Teodorówki i dla Radziejowa, Komodziarki, Jędrzejów- ki, dokąd też z tej studni miała popły- nąć woda. Trzeba jej aż 24 metry sześciennie na godzinę. Tymczasem inżynier z przedsiębiorstwa ma minę niezbyt wesołą. Studnia daje za mało wody.

— Nie ma pewnie rady dla Teodo- rówki. Tyle roboty, tyle pieniędzy i wszystko na nic. — Niejeden z gospo- darzy zaklął, niejednego nerwy aż po- nosiły.

Robotnicy rozmontowali wieżę nad wywiertem, wyjechali.

Ludziom nieudana próba nie dawała jednak spokoju. Wyjechał Grzywna do powiatu raz i drugi, wyjeżdżali inni gospodarze do województwa, do Zrze- szenia Gospodarki Komunalnej. Przy- wieźli w końcu decyzję. Na polach PGR Radziejów dokonano się jeszcze jed- nego wywiertu. Powinien się udać. A jeśli się nie uda, Teodorówka otrzy- ma wodę z rzeki Biała Łada. Trzeba tylko poczekać na dokumentację.

Szkoda jednak nieudanej, bo nieuda- nej studni, ale przecież dającej sporo wody.

— Może by ją wykorzystać — poddał myśl Zdunek — i półka cała wieś nie otrzyma tyle wody, co trzeba, dopro- wadzić ją chociaż do spółdzielni zdro-



# WSPOMNIENIE O BOLESŁAWIE LEŚMIANIE

pozornej polskości (ze względu na podobieństwo z „czartem”) jest obca duchowi polskiemu. Twierdził, że jest pochodzenia węgierskiego i wywodzi się od słowa „certa”. Nie mogę ustalić, w jakim stopniu wywody Leśmiana oparte były na słuszności, węgierskiego języka bowiem nie znam zupełnie, a badaniu tej sprawy nie poświęciłem ani ułamka czasu. Uważałem ponadto, że cały artykuł programowy umieszczony w Nr. 1 „Czartaka” jest nieporozumieniem zasadniczym i z tego powodu należy wyciągnąć najdalej idące konsekwencje w stosunku do dalszego istnienia pisma. Zamiaszt „Czartaka” Leśmian proponował wydawanie miesięcznika pt. „Okrągły Stół”, gotów był nawet pokrywać w pewnej części koszty związane z wydawaniem czasopisma. Do komitetu redakcyjnego, poza Zegadłowiczem i mną, proponował wprowadzić Miłaszewskiego, nie uchylając się bynajmniej od swego udziału. Pomysł Leśmiana nie był mi obcy, przed tym bowiem konsultowałem się z mną. Byłem nawet skłonny udzielić mu poparcia, ale na przeszkodzie stanęła sprawa obsady personalnej komitetu redakcyjnego. Nie miałem przeciwko Miłaszewskiemu, ale nie miałem możliwości zgodzić się na wprowadzenie go na miejsce Millera. O to właściwie rozbiła się cała sprawa. Inna rzecz, że Miller sam z czasem wycofał się z komitetu redakcyjnego „Czartaka”, nie mogąc dojść do porozumienia z Zegadłowiczem, a częściowo i ze mną, w sprawach związanych z ideologią pisma. Koncepcja „Okrągłego Stołu” przez wiele miesięcy była przedmiotem korespondencji i obrad między nami, ale w rezultacie postanowiliśmy utrzymać się przy pierwotnej koncepcji — kontynuowanie „Czartaka”.

Tak się złożyło, że jakoś w październiku, a może w listopadzie 1922 r. zjechali do Warszawy Leśmian i Zegadłowicz. Skorzystaliśmy z zapowiedzianego wieczoru autorskiego Hermiini Naglerowej, aby spotkać się w Polskim Klubie Artystycznym, który mieścił się w salonach Hotelu Polonia. Było trochę znajomych, a wśród nich w mundurze kapitana Przeław Smolik, który ujrawszy nas, podszedł i niezwykle serdecznie przywitał się z nami. Siedliśmy obok siebie — w czarówkę. Było chyba ze czterdzieści osób, ale co pewien czas dochodziły nowe osoby. Upięknęło kilkanaście minut, zanim objawiła się Naglerowa, która przepadała za wszelkimi ceremoniałami i nie gardziła efekciarstwem. Nie pamiętam, kto zagał wieczór. Przypominam sobie tylko, że z początku czytała autorka, a później recytowali aktorzy. Nie mogę sobie uświadomić, z czego to wynikało, ale w pewnej chwili ktoś przed nami siedzący głośno powiedział: — Żydowski nihilizm! Na to Smolik zwrócił uwagę tonem spokojnym i opanowanym: uspokój się pan, nie przeszkadzaj słuchać innym, a jeśli się nie podobą, to najlepiej wyjść! W tym momencie sprawca zamieszania obrócił się pół obrotem ciała w naszą stronę, a zobaczywszy Smolika, krzyknął pod jego adresem: Szabesego w mundurze! Od razu poznaliśmy w awanturującym się osobniku Stanisława Pięnkowskiego, a Smolik niewiele myśląc, wyciął mu tęgi policzek, dodając spokojnie, od niechcenia jakby:

— Aby odechciało się panu na przyszłość wszczynać burdy i pisać głupie artykuły o Leśmianie, Zegadłowiczu i Kozikowskim.

Natychmiast zarządono przerwę. Pięnkowski jeszcze coś wykrzykiwał i rad nierad musiał opuścić salę. Nikt z obecnych go nie poparł, a nawet nie wziął w obronę, co naprawdę było dziwne, zwążywszy, że prądy antysemickie w pewnych środowiskach w tym czasie cieszyły się dużą popularnością. Widocznie młodzież, która stanowiła na owym wieczorze przysięgającą większość, nie pochylała tego rodzaju wystąpień, a w każdym razie była dobrze zorientowana, kto był sprawcą tej burdy. Pięnkowski nie wyciągnął konsekwencji z tego zajścia i nie posłał Smolikowi sekundantów. Sam byłem ciekawy i zasięgnąłem języka w tej sprawie, ale widocznie Pięnkowski był zdania, że lepiej nie rozmyślać afery i w ten sposób wszystko przyszło.

Edward Kozikowski

\* Fragment książki „Wspomnienia o Leśmianie”, która się ukazuje nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

We wrześniu 1920 r., gdy otrzymaliśmy oficjalną wiadomość, że przywrócono połączenie kolejowe między Warszawą a Hrubieszowem, Leśmian wyraził chęć powrotu do domu. Odradziliśmy mu, tłumacząc, że z przejazdu korzystają mogą na razie wojskowi. Uparł się, że musi wracać i że właściwie i jemu przysługuje to prawo, bo należy do CKP, który podlega Ministerstwu Spraw Wojskowych. Istotnie tak było. Członkowie CKP mieli nawet prawo noszenia mundurów oficerskiego bez szarży, ale niewielu z nas korzystało z tego przywileju. Wojskowi z prawdziwego zdarzenia traktowali nas trochę jak laików i patachów, pragnących wykpić się od normalnej służby w wojsku. Dlatego znaczna większość z nas korzystała z zezwolenia Ministerstwa Spraw Wojskowych i chodziła po cywilnemu. Leśmianowi wręczono odpowiednie pismo, zawierające rozkaz odbycia podróży służbowej do Hrubieszowa, podpisane przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, i pewnego dnia autor „Łąki” zjawił się w CKP, aby się z nami poznać. Miał na sobie długą ciemną, daleko poza kolana sięgającą jesionkę, bo to chłody jesienne dawały się już we znaki, a na głowie — rogatywkę z dystynkcjami oficerskimi, oczywiście bez szarży. Wyglądał niesamowicie i tak zabawnie, że ktokolwiek go z nas zobaczył, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Od tej pory widywaliśmy się co pewien czas. Za każdym razem, gdy tylko był w Warszawie, a bywał często, nie omieszkaliśmy zatelefonować, proponując, abyśmy się spotkali w jakimś lokalu. Zaprzyżnił się z Zegadłowiczem i ze mną i przebywał chętnie w naszym towarzystwie. Millera jakoś nie darzył sympatią, trudno mi nawet powiedzieć z jakiego powodu. Bywa tak przecież, że z jednymi ludźmi chętniej przestajemy, a innych unikamy. Coś widocznie w Millerze go raziło i nie odpowiadało mu i tej niechęci nie mógł się pozbyć. Mijały lata i — jak zauważyłem — stosunek ten nie uległ zmianie ani na jotę.

W tym okresie dojrzała ostatecznie kiełkująca w nas koncepcja wydawania „Czartaka” i Leśmian bez żadnych zastrzeżeń owszem — chętnie, dał dwa wiersze do przygotowywanego właśnie numeru pierwszego. Sam się do niego zwróciłem, prosząc o współpracę. Odpowiedział z miejsca, że „z największą chęcią” i zaraz wiersze przysłał. Numer pierwszy „Czartaka”, który ukazał się w lutym 1922 r., zawierał między innymi, oba wiersze Leśmiana, nieco może makabryczne i w treści, i w fakturze, ale niewątpliwie weale interesujące. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się trochę, choć należałem do wielbicieli talentu poety, dlaczego właśnie takie wiersze, podobne do siebie pomysłem i aurą, przeznaczył do „Czartaka”, choć zapewne posiadał w tece i inne. Miałem pewne obawy, że niesprzyjająca nam prasa wykorzysta je, aby generalnie zaatakować „Czartaka”. Okazało się, że przewidywania moje nie były pozbawione słuszności, że miałem rację, kierując się swoim niezawodnym psim węchem.

Zaatakowano nas na łamach „Skamandra”, wytykając Leśmianowi przy okazji, jego żydowskie (nie do wiary!) pochodzenie. Użył sobie też na Leśmianie, jak i na nas wszystkich, Stanisław Pięnkowski, ogłaszając w endeckiej i żydożerczej „Gazecie Warszawskiej”, w czasie od 13 do 20 kwietnia 1922 r., cykl artykułów pt. „Znikąd — donikąd czyli w krainie poetyckiej Bezdziəsi”.

Jeszcze przed ukazaniem się obu artykułów — w „Skamandrze” i w „Gazecie Warszawskiej” bo w marcu 1922 r. pisał Leśmian do Zegadłowicza na temat wydanego właśnie Nr. 1 „Czwartaka”. Wiele trafnych uwag znalazło się w tym liście, nie od rzeczy więc będzie, gdy zacytuje je w całości: „Chciałbym z Wami o „Czartaku”, obszerniej pomówić. Zbyt tam wielka zdawkowość i dowolność arbitralna we wzmiarkach krytycznych. — Za mało powagi w ujęciu cudzej twórczości, za dużo sympatii i antypatii. Są to właśnie wady „Skamandra”, warto ich unikać. Czy można w dwóch słowach zatłumaczyć

z twórczością Staffa, a tuż obok wychwalać pod niebiosa, zda się, Jędrkiewicza (bardzo niezgodny) i Grabińskiego (mocno bezradny i sztabacki) — Przeproszam — nie Grabińskiego, lecz Jerzego Brauna. Byłoby lepiej drukować studia o sztuce lub autorach, pomijając autorów niepoważnych, bo podobno ma się w „Czartaku” zjawić artykuł (!) o Breiterze. Warto się nad nim zastanawiać? Obniża to poziom pisma. — Prócz tego za dużo każdy autor drukuje swoich wierszy. Trzeba o tym pomyśleć.

Wasze obydwie ballady doskonałe, toteż „Skamander” na Was się pieni, Miller ułaski się owej piany. — To też źle!”

W tymże liście wspomina Leśmian, że z Warszawy prześle Zegadłowiczu 300.000 marek. To wkład w kilimiarnię. Zegadłowicz uruchomił ją u siebie w Gorzeniu Górnym, po wyjściu z Ministerstwa Sztuki i Kultury, w oparciu o otrzymaną z tego urzędu subwencję, a gdy, wskutek dewaluacji marki, przyszły tarapaty finansowe, zaczął szukać innych źródeł, skąd by można zaczerpnąć gotówki. Od instytucji państwowych trudno było coś wydobyć. Ministerstwo Sztuki i Kultury robiło bokami. Były to ostatnie chwile jego żywota, wcale zresztą nie chwalebne. Mimo woli myśl kierowała się w stronę kolegów, którzy na tym padole ziemskim reprezentowali coś konkretnego. W ten sposób Jerzy Hulewicz i Bolesław Leśmian stali się podporą handlowych pomysłów Zegadłowicza i pozwolili uwikłać się w sieć jego niefortunnnych interesów. W każdym przedsięwzięciu czy interesie ten, który daje pieniądze musi mieć jaką taką gwarancję na wycofanie włożonej gotówki. Gwarancji takiej i to w tak niepewnych czasach inflacyjnych Zegadłowicz nie mógł udzielić. Trzeba było przecież w jakiś sposób skaptować Leśmiana dla sprawy, zainteresować go tą nieszczęsną kilimiarnią i w pewnym stopniu z nią związać. Ponieważ żona Leśmiana była plastykami, Zegadłowicz zwrócił się do niej za pośrednictwem Leśmiana, aby zechciała dostarczać projektów wzorów na kilimy. Oczywiście, zdaje sobie sprawę, że to jest niewiele, że to jest po prostu za mało. Ale co może w zamian ofiarować Leśmianowi? Chyba okazał mu trochę serca. Przypisuje mu więc drukujące się właśnie — „Powsinogi beskidzkie”. Opatruje jeszcze książkę gorącą dedykacją i posyła do Hrubieszowa. Leśmian nie odpisuje mu od ręki, czyni to dopiero po paru tygodniach, tłumacząc się zresztą z tej zwłoki, „Z całego serca i z całego ducha dziękuję Wam za przypisanie mi tak cudownego tworu! Uwazam Powsinogi za niezwykle, miejscami wprost nieśmiertelne, nawskroś oryginalne, język upajający, pomysły czarodziejsko piękne. Miriam też zachwycona. Prosił, żebym w jego imieniu podziękował Wam za cudotwórczo urządzone ogród, pełen smaków i tych jabłek. Dumny jestem z Waszego przypisania. Czytałem już Powsinogi — po kilkakroć. W Hrubieszowie będzie odczyt o Balladzie Polskiej — i o Was. Macie mnóstwo nowych wyczuć natury i człowieka — no i ten jeźor, po Tatrach rozwałęsaną naleźcie! Tym tomem zabiłście, zaćmiłście wszystkich żyjących poetów”.

W sierpniu 1922 r. Leśmian wraz z żoną i córkami zjechał na parotygodniowy pobyt do Zakopanego i zamieszkał w willi „Lutnia”, o czym z miejsca zawiadomił Zegadłowicza, zapraszając go z małżonką do siebie. W kilka dni potem do Zakopanego przybyli Zegadłowiczowie, a ponieważ i ja się tam znalazłem, spędziliśmy kilka dni razem na wspólnych rozmowach i rozważaniach. Wiele miejsca w tych pogwarkach poświęcono „Czartakowi”. — Leśmian nie był zwolennikiem koncepcji wydawania „Czartaka” w dalszym ciągu, której kurczowo trzymał się Zegadłowicz. Był zdania, że przede wszystkim nazwa mimo

## Augustów jeziorami pachnący

(Dokończenie ze str. 7)

tu przyjeżdżają w ciągu roku, prawie połowa łowi ryby. A tymczasem karty posiada znikoma część. Bo trzeba by wykupić za 120 zł na cały rok, a potrzebne są tylko 2 tygodnie lub miesiąc. Więc ludzie po prostu nie kupują i stają się kłusownikami. Władze powiatowe zamykają na to oczy. No bo jak zacząć pobierać mandaty karne — wystraszą turystów. Od lat krzyczymy, nie tylko zresztą my, aby Polski Związek Wędkarski wydawał karty sezonowe po odpowiednio niższej cenie. Ale Związek uparł się i fikcja trwa, a kłusownictwo staje się legalne. W dodatku właściciele kart rocznych placą za karty w miejscach swego zamieszkania, a łapią ryby u nas.

Później w rozmowach z przedstawicielami władz wojewódzkich okazało się, że nie tylko w powiecie augustowskim, ale w całej Białostocczyźnie gospodarka rybna jest poważnie zaniedbana. Przykro to napisać, ale tak nie-

stety jest: gorzej niż przed wojną. Wprawdzie metody nadmiernej eksploatacji już zarzucono, ale do ponownego zagospodarowania nikt się na szerszą skalę nie zabiera. Osiągane tu i ówdzie efekty są tylko rodzynkami.

W grupie osób zwiedzających razem z mną Pojezierze Augustowskie był człowiek, który przed 19 laty wyjechał z tych stron do Wrocławia. Przyjechał tu teraz po raz pierwszy i oczy ze zdumienia otwierał, jak bardzo zmieniły się jego rodzinne strony. Powiadał nawet, że gdyby to było możliwe, należałoby każdego Polaka zawieźć tam, gdzie był przed 20 laty. Byłaby to najwspanialsza lekcja pogłówna dorobku naszego dwudziestolecia. A że tu i ówdzie są braki, że ambicje są większe niż rzeczywistość, że pragnienia wyprzedzają możliwości — to świadczy tylko o naszej żywotności. No i nie ulega wątpliwości, że za ileś lat, gdy dzisiejsze pragnienia staną się rzeczywistością, wyrosną nowe ambicje, nowe cele, nowe zadania.

Jerzy Dostatni

## R Y Z Y K O POWSZEDNIE

(Dokończenie ze str. 2)

lot helikopterem. Przepisy zabraniały go wyraźnie. Poczucie solidarności okazało się jednak silniejsze. Dziś obaj z dr. Lukomskim wspominają ten lot z uśmiechem, ale wtedy, (obaj to przyznają) bali się bardzo. Podjęli ryzyko pomocy, ażeby ratować życie młodego żołnierza WOP-u. Wyprawa zakończyła się pomyślnie.

Loty groźące katastrofą podejmują również codziennie piloci Podkarpackiego Aeroklubu z Krosna. Zaproszenie do udziału w takim locie przywitałem początkowo jako dobry żart. Wiał silny wiatr halny, sypało śniegiem i deszczem. Kiedy jednak kierownik aeroklubu Zbigniew Szuber przyniósł mi polarny prawie ekwipunek, a przez okno zobaczyłem, jak mechanicy wyciągają z hangaru samolot, zrozumiałem, że lot dojdzie do skutku. Wycofać się nie wypadało. Wlazłem do kabiny kukuruźnika i wystartowaliśmy. Taki lot patrolowy przypomnia trochę polowanie. Obserwujemy pilnie ziemię i notujemy miejsca, gdzie ludzie wzywają po-

mocy, zakorkowane w zaspach samochody, sytuację na drogach. To się teraz dobrze pisze: „obserwujemy”, „notujemy”. To jednak nie przypomina polowania. Bo kto z myśliwych rzucający jest co chwila to w dół, to w górę, to znów na boki, a nieostojony kawałek twarzy ma kompletnie posiekany przez wiatr i śnieg? Kto zastanawia się spoglądając na las, czy właśnie tu z ogromnym trzaskiem nie skończy się wyprawa, i życie? Ale piloci Zbigniew Szuber, Zygmunt Szubra (z którym leciałem), Józef Kusiba, Jerzy Szykiewicz i Zbigniew Kwiatek ryzyko takich lotów podejmują codziennie.

Bieszczady tej zimy przeżywały i przeżywają ciężkie dni. Ale jedno jest w tym bardzo optymistyczne. Te trudne chwile wykazały, że nie jesteśmy sami, że nasi bliźni, w chwili kiedy naprawdę potrzebujemy pomocy, wyciągają ku nam dłoń. Ze żyją wśród nas ludzie odważni, zahartowani, ludzie o gorących sercach, którzy nie boją się podjąć ryzyka walki. I może właśnie w tej chwili, gdy czytacie ten artykuł, z lotniska w Krośnie startuje pilot do kolejnego lotu, a ratownicy GOPR-u walczą ze zmęczeniem, aby uratować największy skarb — ludzkie życie.

Wojciech Trzmiel



# RÓWNOUPRAWNIENIE RZEMIOSŁA

EMANUEL ISERZON

...Problem rzemiosła, warsztatów i usług rzemieślniczych. To wielki problem. Usługi są niedostatecznie rozwinięte, często odczuwamy braki w tej dziedzinie, brak odpowiednich warsztatów rzemieślniczych, usługowych. Tym się władze terenowe za mało martwią" (Władysław Gomułka — przemówienie końcowe na XV Plenum KC PZPR).

Według planu 6-letniego udział gospodarki socjalistycznej w przemyśle i rzemiośle wzrosnąć miał w 1955 r. do 99%. Skutki tego założenia w dziedzinie „usług” są nam dobrze znane. Oskar Lange tak je charakteryzuje: „Gdy zaczęliśmy likwidować drobną wytwórczość, to działo się to dużym kosztem gospodarczym, następował bowiem zanik całych dziedzin produkcji. Stopniowo zniknęły z rynku różne towary codziennego użytku z produkcji drobnej. Nie ulega wątpliwości, że przyczyniło się to do pogorszenia warunków bytowych... Istniała chęć szybkiej likwidacji elementów kapitalistycznych i drobnomieszczańskich, dyktowana nie względami ekonomicznymi, bo wiemy, jak drogo za to zapłaciłmy (wiedzieliśmy o tym wówczas), lecz względami politycznymi, obawą, że w miarę zaostrzania się sytuacji międzynarodowej elementy te będą w naszej gospodarce narodowej czynnikiem rozsądającym i paraliżującym władzę ludową” („O niektórych zagadnieniach polskiej drogi do socjalizmu”, 1957). Pozostały na placu warsztaty najbardziej prymitywne i zacofane technicznie i ekonomicznie. Już w 1954 r. „Nowe Drogi” wskazywały na szkodliwość takiego stosunku do rzemiosła (Mieczysław Marzec: Sprawy rzemiosła i spółdzielczości pracy, „Nowe Drogi”, 1954 nr 11).

Upadek rzemiosła i w ogóle drobnego przemysłu przyczynił się w znacznym stopniu do wyludnienia małych miast, w których główną podstawą istnienia był przemysł drobnotowarowy.

W 1956 r. nastąpił zdecydowany zwrot centralnego środowiska kierowniczego w ustosunkowaniu się do rzemiosła. Na zjeździe Stronnictwa Demokratycznego w styczniu 1958 r. i Kongresie tego stronnictwa w lutym 1961 r. Władysław Gomułka podnosił, że państwo będzie popierało zdrowy rozwój polskiego rzemiosła. Oznaczało to, że bierzemy kierunek na pełne zaspokojenie wciąż wzrastającego zapotrzebowania na usługi. Mimo to, rzemiosło nie wykazuje zadowalającego rozwoju. Lata 1957 i 1958 zaznaczyły się wprowadzeniem godnym uwagi wzrostem potencjału rzemiosła, mianowicie ilość warsztatów wzrosła do 131,7 i 135,9 tysięcy (w 1956 r. było ich 96,6 tysięcy) przy zatrudnieniu 209,5 i 227 tysięcy osób, licząc w tym właściciela i członków rodziny. Ale na tym poziomie potencjał rzemiosła utrzymuje się po dziś dzień: 1962 r. — 134,3 tysięcy warsztatów przy zatrudnieniu 226,6 tysięcy osób. Nie ma dotąd w naszej administracji klimatu do rozwoju rzemiosła. Dowodem tego jest pismo ówczesnego Prezesa Rady Ministrów z marca br., w którym akcentuje się: „Jak wykazuje dotychczasowa praktyka, nie wszystkie rady narodowe doceniają rolę rzemiosła w rozwoju usług, odmawiając rzemieślnikom w wielu wypadkach przydziału lokali użytkowych i to zarówno w nowym, jak i starym budownictwie, nie wykorzystują swych uprawnień w zakresie obniżania stawek czynszowych za lokale użytkowe, bądź też odmawiają oddawania w użytkowanie rzemieślnikom działek pod budowę placówek usługowych i domków jednorodzinnych”. Bez zmiany „klimatu” podjęte przez Rząd w latach 1960 i 1963 uchwały w sprawie usług dla ludności i rolnictwa nie będą w pełni zrealizowane.

Tezy przedjazdowe Partii akcentują jako wytyczną rozwoju gospodarczego Polski w latach 1966—1970 „sześciopunktowy rozwój usług dla ludności, w szczególności przez rozbudowę spół-

dzielczości pracy, rzemiosła i chałupnictwa... Obok spółdzielczości pracy w znacznie większym stopniu powinno rozwinąć działalność usługową rzemiosło indywidualne. Zatrudnienie w zakładach rzemieślniczych ma wzrosnąć o 30%. Należy rozszerzyć ulgi i bodźce ekonomiczne dla rzemiosła, stworzyć warunki dla około dwukrotnego wzrostu zatrudnienia w produkcji chałupniczej”.

Jesteśmy pod znakiem „wyżu demograficznego”. Ustala się, że w latach 1966—1970 wobec wyjątkowego wzrostu zatrudnienia, trzeba przygotować miejsca w zakładach dodatkowo dla ponad półtora miliona wchodzących w życie młodych ludzi.

„Nie można mieć wątpliwości co do tego, że cała Partia i całe społeczeństwo uzna tę sprawę za najważniejszą” (Władysław Gomułka — przemówienie końcowe na XV Plenum). Półtora miliona stanowisk pracy musimy dobudować. Wymaga to wielkiego wysiłku pieniężnego. Szukamy drogi, ażeby uczynić to jak najmniejszym kosztem. I muszą to być miejsca pracy gospodarczo pożyteczne, w ich budowie nie można bowiem kierować się jedynie względem na „pełne zatrudnienie”. Średni koszt jednego miejsca pracy w przemyśle wyniesie w następnej pięcioletce około 460 tysięcy złotych, w najlepszym wypadku — około 340 tysięcy. Istnieje ogromna różnica kosztu jednego miejsca pracy pomiędzy różnymi gałęziami przemysłu. Najdroższe miejsca pracy to miejsca w energetyce, w kopalniach węgla brunatnego, w kopalnictwie i hutnictwie metali kolorowych i hutnictwie żelaza. W tych gałęziach miejsce pracy kosztuje powyżej jednego miliona złotych. W przemyśle chemicznym koszt jednego miejsca wynosi 1.250 tysięcy złotych do 93 tysięcy złotych. Najtaniej kalkuluje się koszt miejsca pracy w rozmaitego rodzaju usługach. Te dane przytoczone przez Stefana Jędrzychowskiego w dyskusji na XV Plenum (marzec br.) wyjaśniają, jakie znaczenie ze stanowiska „pełnego zatrudnienia” w dobie wyżu demograficznego ma rozwój rzemiosła indywidualnego.

Przyczyną niewystarczającej podaży usług jest nie tylko mała ilość punktów. Jeszcze jeden czynnik powinien być w tym względzie wzięty pod uwagę — dysproporcja między nowoczesną techniką produkcji przemysłowej i w ogóle poziomem kultury a rekordzianczą przeważnie techniką wykonywania usług. To zjawisko odbija się ujemnie na szybkości, jakości i cenie świadczonych usług. Oto ilustracja: przewinięcie ręczne silnika elektrycznego kosztuje w warsztacie rzemieślniczym dwa razy więcej niż nowy silnik. Brak nowoczesnej techniki pomniejsza rentowność działalności usługowej. Powoduje to likwidację niejednego warsztatu rzemieślniczego. Jest to też przyczyna, że młodzież stroni od usług, garnąc się do zakładów wielkich o nowoczesnej technice. A przecież 50% usług dla ludności świadczy rzemiosło. Istnieje możliwość zmechanizowania warsztatów rzemieślniczych. W 1963 r. wyprodukowano 425 pozycji urządzeń i elektronarzędzi dla placówek usługowych. Rząd zamierza spowodować w rzemiośle usługowym ożywienie procesu inwestycyjnego. W listopadzie 1963 r. Sejm uchwalił ustawę o ulgach podatkowych z tytułu inwestycji w rzemiosło. W lutym br. wprowadzono zmiany w zasadach kredytowania rzemiosła, podwyższono główną granicę kredytu do 50 tysięcy złotych i przedłużono okres spłat do 10 lat na cele budownictwa i do 5 lat na inne inwestycje. Przewiduje się akty normatywne mogące wpłynąć dodatnio na rozwój rzemiosła: skrócenie czasu szkolenia uczniów od 2 lat, zwolnienie na okres 2 lat od podatku obrotowego i dochodowego nowo zakładanych warsztatów w miejscowościach z zaludnieniem do 20 tysięcy i inne. Rozważany jest projekt przyznania rzemieślnikom prawa do opłaty czynszu według stawek ulgowych, przydzielania działek budowlanych dla rzemiosła, zabezpieczenia przydziału lokali dla rzemieślników rugowanych wskutek przyczyn

BYL czas, gdy Lubelszczyzna znajdowała się w „czołówce” województw o najwyższym spożyciu alkoholu. Rok 1962 przyniósł zasadniczy przełom, przesunęliśmy się na jedno z ostatnich miejsc w skali krajowej. Zaważyła tu niewątpliwie wielka ofensywa kulturalna w naszym województwie. „Eksperyment lubartowski”, który szybko się rozprzestrzenił na inne powiaty, burzliwy rozwój uniwersytetów powszechnych (244 z 200 tys. słuchaczy), ośrodków kulturalnych (350, nie licząc domów kultury i świetlic) oraz sieci bibliotek — nie tylko wzbogaciły zakres wiedzy mieszkańców wsi, osiedli i miasteczek, rozszerzyły ich horyzonty myślowe i dostarczyły kulturalnej rozrywki, ale odciągnęły także od wódki.

Dużą inicjatywę i inwencję w przeciwstawianiu się alkoholowemu zalewowi wykazał Wojewódzki Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy. Rozwinął on wielostronną działalność organizatorską, uświadamiającą, propagandową, kulturalno-oświatową, nawiązał ściśle współpracę z organizacjami społecznymi, młodzieżowymi, kobiecymi, sportowymi, z Kuratorium Okręgu Szkolnego, z władzami wyższych uczelni, sądem, MO. Roztoczył opiekę nad rodzinami alkoholków, a szczególnie nad ich dziećmi, dla których zorganizował dożywianie, kolonie letnie i wspólnie z Sądem dla Nieletnich świetlice, gdzie pozostają pod opieką doświadczonych wychowawców. WSKP zajął się reorganizacją powiatowych komitetów przeciwalkoholowych i wydatnie pomaga im w pracy. Obecnie we wszystkich prawie powiatach powstały gromadzkie komitety przeciwalkoholowe i liczne koła na wsi.

Niewątpliwie największym osiągnięciem WSKP jest przyłączenie młodzieży akademickiej do współpracy. Zaczęło się od kilkunastoosobowego koła przeciwalkoholowego, które powstało przy Akademii Medycznej w ramach zobowiązań 1-majowych. Dzisiaj w studenckich kołach przeciwalkoholowych zrzeszonych jest około 2 tys. młodzieży ze wszystkich lubelskich wyższych uczelni.

Koła te prowadzą działalność we własnym środowisku akademickim, ale także wśród uczniów szkół średnich oraz młodzieży wiejskiej i robotniczej.

Studenci AM, UMCS i WSR jeżdżą na wieś do domów kultury i świetlic, do szkół, PGR i spółdzielni produkcyjnych z odczytami, pogadankami, z piosenką, satyrą i „zgadują-zgadują”. Organizują tam koła przeciwalkoholowe i zespoły amatorskie. Chodzą do zakładów pracy, ucą młodych i starych bawić się bez wódki.

Starsi studenci opiekują się „pierwszorocznikami” i czuwają przede wszystkim nad kolegami zdradzającymi pociąg do kieliszka. Studenckie koła przeciwalkoholowe dbają o to, by na terenie „akademika” nie odbywały się libacje, organizują wystawy, włączyły do pracy propagandowej radiowęzeł akademicki i wygłaszają pogadanki, wysydzają i piętnują pijaków. Dobrą tradycją stały się „czwartki bezalkoholowe” z ciekawymi spotkaniami, odczytami i dyskusjami przy czarnej kawie, z muzyką i tańcem. Na te „czwartki” studenci zapraszają młodzież robotniczą z kół przeciwalkoholowych. Młodzież robotniczy i kierownicy chętnie przychodzą i świetnie się czują wśród studentów.

Z inicjatywy akademickiego aktywu przeciwalkoholowego zlikwidowano w kioskach i bufetach na terenie Miasteczka Uniwersyteckiego sprzedaż wszelkich napojów alkoholowych, nawet piwa i niskoprocentowego wina. Uwieńczone zostały sukcesem długotrwałe starania studentów o wycofa-

urbanistycznych (wywiad z przewodniczącym Komitetu Drobnej Wytwórczości W. Lechowiczem 7 marca br.).

Od dłuższego czasu opinię publiczną zajmuje zagadnienie aktywizacji małych miast tj. miast niewydziałonych z powiatu. W związku z przemianami gospodarczymi, jakie zaszły w Polsce, zainicjuje się ich upadek z powodu ucieczki ludności, która szuka i znajduje pracę w większych miastach (jak zaznaczono wyżej), przyczyniła się do tego również niewłaściwa polityka w dziedzinie rzemiosła. W małych miastach liczących poniżej 20 tysięcy mieszkańców zamieszkuje 1/6 ludności kraju. Redakcja „Gospodarki i Administracji Terenowej” urzędziła w roku ubiegłym konferencję przedstawicieli praktyki i nauki w Warce (powiat grójcecki województwo warszawskie). To spotkanie redakcyjne opracowało pewne tezy dotyczące zagadnienia aktywizacji ma-

# Przeciw alkoholowemu „zalewowi”

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

nie alkoholu z kawiarni „Tip-Top” i przeobrażenie jej w eksperymentalny lokal młodzieżowy. Jest to połączenie kawiarni z placówką kulturalno-rozrywkową.

Jeśli obecnie w Miasteczku Uniwersyteckim zapanował spokój i wspaniały piasek, które nie tak dawno były tam na porządku dziennym, a raczej nocnym, dziełem zdarzają się tylko rzadko, jest to w ogromnej mierze zasługą studenckiego aktywu przeciwalkoholowego. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak ważną sprawą jest odciążenie młodzieży od picia. Uświadamiająca i profilaktyczna działalność studenckich kół przeciwalkoholowych ma więc szczególną wymowę.

Dotychczasowe osiągnięcia są jednak mimo wszystko niewspółmierne do wagi problemu, jakim z punktu widzenia społecznego jest u nas alkoholizm. O jego rozmiarze świadczy zarówno przytoczona na wstępie suma wydanych w roku ub. pieniędzy na alkohol, jak też liczba około 4 tys. zarejestrowanych i leczonych w poradniach przeciwalkoholowych na terenie Lubelszczyzny nałogowych alkoholków oraz ponad 150 takich, którzy powinni znaleźć się w zamkniętym zakładzie odwykowym, a tymczasem z powodu braku tam miejsc z wyrokami sądowymi w kieszeni nadal grasują po knajpach, racząc się wódką, rozpijają i demoralizują innych.

To, co dotąd zrobiono w zakresie walki z alkoholizmem, można potraktować jedynie jako start do wielkiej batalii, która wymagać będzie scentementowania wszystkich sił. Nie obydzie się tutaj bez współdziałania wydatnej pomocy Wydziału Zdrowia PWRN, który do niedawna jeszcze nie doceniał zagadnienia i nie popierał WSKP w jego poczynaniach. Także lecnicstwo przeciwalkoholowe było spychane na ostatnie miejsce i traktowane po macoszu. Świadczy o tym chociażby fakt, że wojewódzka przychodnia przeciwalkoholowa istnieje dopiero od... kilku miesięcy, że w żadnej poradni nie ma etatu psychologa ani asystenta społecznego, a w niektórych brak jest nawet pielęgnarek. Wiele do życzenia pozostawia również obsada lekarska tych placówek, brak bowiem specjalistów alkohologów. Wszystkie te zaniedbania trzeba będzie obecnie usunąć, a także jak najszybciej uruchomić zakład odwykowy w Suchowoli.

Koordinatorem całej działalności przeciwalkoholowej jest stała Komisja do Walki z Alkoholizmem przy WRN. Do października ub. roku istniała jednak jedynie na „papierze”. Zreorganizowana pod nowym kierownictwem (wiceprzewodniczący PWRN inż. Jan Siewierski) zabrała się energicznie do dzieła. Opracowany został plan pracy w którym znalazły odzwierciedlenie najistotniejsze problemy, a więc przede wszystkim lecnicstwo przeciwalkoholowe i profilaktyka. Przystąpiono też już do realizacji nakreślonych zadań. Należy więc przypuszczać, że i wyniki koncentrycznego ataku będą odpowiednie.

nych miast. Otrzymały one nazwę „miast wareckich”, którymi bardzo się zainteresowały centralne czynniki administracji. Dyskusja wykazała silną stagnację w miasteczkach, szczególnie w grupie poniżej 10 tysięcy mieszkańców. Nasze służby planistyczne zaniebują problem „małych miast”. Tymczasem konieczny jest ich rozwój już w niedalekiej przyszłości. Plany rozwojowe osadnictwa wiejskiego przewidują koncentrację zabudowy w osiedlach wiejskich rzędu paru tysięcy mieszkańców. Mają to być osiedla o charakterze miast w regionach wiejskich („urbanizacja wsi”) o liczbie ludności 2-5 tysięcy. Staną się one wzorem i ośrodkami kultury dla okolicznych wsi. Istniejące, zagrożone upadkiem małe miasteczka, których powierchnia w 3/4 jest zajęta pod uprawę rolną, powstaną i mogą stać się właśnie takimi

(Dokończenie na str. 13)

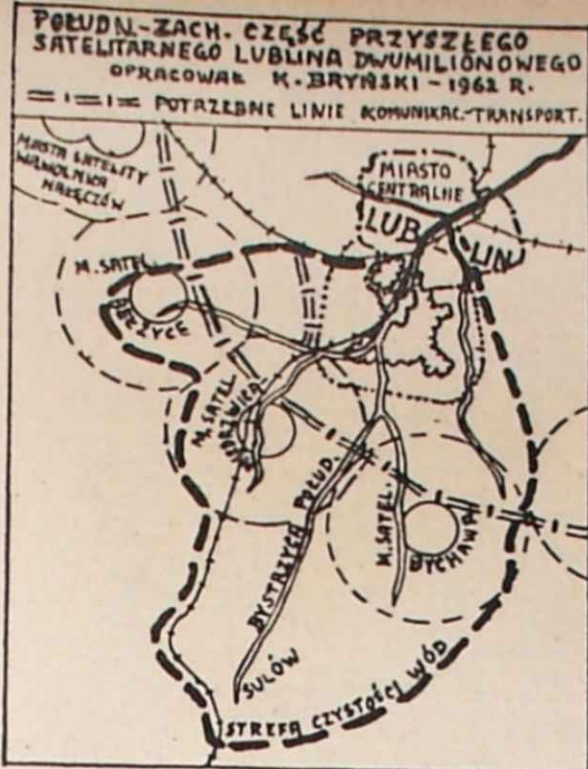


# OSIEM

# LAT

# WALKI

## KAZIMIERZ BRYŃSKI



Poniżej drukujemy artykuł przewodniczącego Fizjograficznej Komisji Przyrodniczych Towarzystwa Naukowych w Lublinie.

Mija właśnie osiem lat od opublikowania w „Zyciu Lubelskim” (5.IV.1956) stwierdzenia, że dzielnica Wrotków została źle zaplanowana (redakcja samowolnie złądziła tytuł artykułu). Wskazałem, że nie tylko nie można lokować tam dalszych obiektów przemysłowych ani kolejowej stacji towarowo-rozrządowej, ale istniejące tam obiekty przemysłu ciężkiego należy przenieść w przyszłości na wschód od miasta.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza od dawna apeluje do naukowców, by włączyli się w bieg codziennego życia, by osiągnięciami swych badań wprowadzili postęp.

Tymczasem odnośnie projektowanej kolejowej stacji towarowo-rozrządowej w Lublinie obserwuje się od ośmiu lat prawie zupełne bagatelizowanie stwierdzeń i postulatów naukowców oraz postulatów szerokiego mas społeczeństwa. Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych w Lublinie, popierana przez Ministerstwo Komunikacji, chce wtłoczyć dużą kolejową stację towarowo-rozrządową, wraz z parowozownią, rozrządnicą, magazynami itd., w samo centrum Wielkiego Parku Wodno-Leśnego Lublina. — Jedynej bliskiej strefy jeszcze o pełnych walorach zdrowotnych (czyste powietrze, pełnowartościowe słońce, czysta woda, 2 duże lasy, dużo sosny na glebie piaszczystej i... cisza), mającej dać codzienny wypoczynek i rekreację dziesiątkom tysięcy mieszkańców Lublina.

Opublikowano w tej sprawie szereg artykułów, m.in.: „Dzielnica przemysłowo-skiadowa na Wrotkowie” — „Zycie Lubelskie” 5.4.1956. — „Przeciw lokowaniu stacji rozrządowo-towarowej na Wrotkowie” — „Kurier Lubelski” — 14.I.1959. „Dyrekcja Kolei o stacji towarowej na Wrotkowie” — „Kur. Lub.” 21.I.1959. „Stacja towarowa — tak, ale nie z Zemborzycach” — „Kur. Lub.” 20.II.1959. „O zgodności inwestycji kolejowych z dobrem miasta” — „Kur. Lub.” 20.II.1959. „Ośrodek wypoczynkowy czy węzeł kolejowy” — „Szt. Mł.” 12.4.1961. „Problemy zdrowej rozbudowy Lublina (cz. II)”, „Sztandar Ludu” 18.2.62. „Brak zrozumienia czy cynizm (I—III)”, „Sztandar Ludu” 8, 9, 10.8.62. „Odrzucić błędną koncepcję — potrzeby kolei, komunikacji i transportu” — „Kamena” 15.9.62. „Wielki Park Wodno-Leśny Lublina (cz. I—II)”, „Sztandar Ludu” 20, 21, 08.63.

Omówione zagadnienia ilustrują mapki w niniejszym artykule. Mapka 1 — południowo-zachodnia część przyszłego Lublina Satelitarnego i obszar koniecznego zachowania czystości wód Bystrzycy. Mapka 2 — obszar Wielkiego Parku Wodno-Leśnego Lublina wraz ze zwierzyńcem (małeczki wodno-leśny), strefą czysty oraz strefami letniskowymi dookoła.

Przed I wojną światową, w r. 1912,

więc jeszcze za czasów carskich, główna stacja kolejowa osobowa i towarowa znajdowały się na skraju ówczesnego miasta. Chociaż ze względów fizjograficznych nie należało lokować obiektów przemysłowych od strony południowej i południowo-zachodniej miasta, jednak istnienie stacji kolejowej było magnesem dla przemysłowców i powstał tu szereg obiektów, m.in. przemysłu ciężkiego. Szkodliwe skutki takiego stanu są poważne: silne zanieczyszczenia rzeki zatrzymującymi i cuchnącymi ściekami już od początku jej biegu przez miasto, powietrza dymami, czadami, pyłami, które przeważające wiatry wnoszą na miasto, całkowite zniknięcie dość dużego lasu znajdującego się dawniej w tej strefie.

Stację kolejową rozbudowywano coraz bardziej. Tuż po I wojnie światowej miasto przesuwa swe granice bardziej na południe. Stacja znalazła się głęboko we wnętrzu miasta i swym dużym obszarem części towarowo-magazynowej zaczęła dławić normalny rozwój i rozrost miasta. Po poszerzeniu granic Lublina w r. 1959 stacja osobowo-towarowa znalazła się prawie w centrum miasta.

Sytuacja taka to „curiosum”. Należało już dawniej pomyśleć o przeniesieniu tej stacji na dostateczną od miasta odległość. Im później, tym gorzej, bo każda nowa inwestycja typu towarowego i rozbudowa zaplecza w pobliżu dotychczasowego jej istnienia to pieniądze zmarnowane. Duża stacja towarowa nie będzie mogła istnieć w centrum miasta Lublina. Paraliżowałaby żywotność i funkcjonalność miasta jako organizmu. Byłaby taka sytuacja rażąco sprzeczna z najbardziej podstawowymi zasadami urbanistycznymi nie tylko krajów socjalistycznych, ale już od dawna także postępowych krajów kapitalistycznych.

Wielki Park Wodno-Leśny, o niebagatelnym obszarze 30 km<sup>2</sup>, jest istotną funkcjonalną strefą urbanistyczną Lublina. W innym miejscu być nie może, gdyż tylko tu istnieje odpowiedni zespół fizjograficzny — dwa ocalałe lasy (razem 17 km<sup>2</sup>), odcinek rzeki Bystrzycy o czystej wodzie i dużym przepływie (3,5 m<sup>3</sup>/sek), jedynie tu da się utworzyć duży zbiornik retencyjny (3 km<sup>2</sup>), mający spełnić równocześnie cele rekreacyjno-sportowo-wypoczynkowe (wodne w lecie, lodowiskowe w zimie), co dla Lublina, pozbawionego większej ilości wody, mieć będzie ogromne znaczenie.

Węzeł kolejowy lubelski nie należy do istotnych funkcji miasta Lublina, już 200-tysięcznego, z 6 wyższymi uczelniami, przemysłem, ośrodkami kulturalnymi, administracyjnymi itd. Usiłowanie wtłoczenia do wnętrza miasta dużego obiektu towarowo-rozrządowego, który będzie obsługiwał w poważnej mierze pociągi nie mające nic z miastem Lublinem wspólnego (przewóz wewnętrzny, międzymiastowy, eksportowy, importowy, tranzytowy itd.) jest wprost potworne. Jest to zupełne bagatelizowanie wartości człowieka, jego potrzeb życiowych,

zdrowotnych warunków pracy, mieszkania i zdrowotnego wypoczynku.

Ulokowanie kolejowej stacji towarowo-rozrządowej na obszarze Wrotkowa—Zemborzyc rozciąłoby obszar Wielkiego Parku na dwie odizolowane od siebie części, duży procent centralnego obszaru wypoczynkowego zajęłoby na inwestycje sprzeczne z funkcjonalnym przeznaczeniem tej strefy zielonej, zmniejszyłoby poważnie jej rolę klimatyczną, zdrowotną, rekreacyjną itd., wprowadziłoby zanieczyszczenie powietrza dymem lokomotywy, pyłami towarowych ładunków pylastych, fetorami rozkładających się smarów. Zanieczyściłoby wody Bystrzycy i przysięgło jeziora trującymi dla ryb i innych organizmów, substancjami smolistymi, szkodliwymi także dla kąpiących się. Wprowadziłoby loskoty przetaczanych wagonów, hałas czystych gwizdów sygnałowych itd.

Wprowadziłoby strefy za- i wyludkowe, zabudowę magazynowo-towarową i innych urządzeń, szeroką sieć szos dla transportu towarów, rozszerzenie dojazdów, duże nasilenie ruchu w ogóle, a samochodów towarowych i traktorów w szczególności, zwiększyłoby zgiełk, hałasy, zanieczyszczenie powietrza i niepokój.

Dookoła tego Wielkiego Parku musi być utworzona strefa letniskowa z sadami i ogrodami oraz budownictwo mieszkalne, więc i ta strefa doznałaby szkód.

W tej sytuacji, usiłowanie utrwalenia błędów powstałych jeszcze w czasach carskich jest nie tylko dalszym błędem. To kompletne bagatelizowanie postępu, socjalistycznej gospodarki, bagatelizowanie warunków życia i pracy 200-tysięcznej ludności miasta, to świadome działanie na niekorzyść społeczeństwa (uwzględniając wieloletnie naświetlanie sprawy), dokonywane w imię pojętego ciasno i bezdusznie interesu jednej tylko z licznych gałęzi gospodarki narodowej.

Rachunek uwzględniający tylko korzyści i koszty jednej gałęzi gospodarki narodowej, a nie uwzględniający zysków i strat innych gałęzi gospodarki narodowej, które musi za sobą pociągnąć fakt realizowania inwestycji tej jednej gałęzi, nie może być nazywany rachunkiem ekonomicznym gospodarki narodowej. To nie byłby rachunek rzetelny, byłby to fałsz, więc nie mogłoby być w ogóle brany pod uwagę.

W ciągu tych 8 lat odbyła się niezliczona ilość konferencji, narad, dyskusji. Ogromna większość wypowiedzi stanowczo sprzeciwia się usytuowaniu tej stacji na obszarze Wrotkowa—Zemborzyc. Pisemne protesty w tej sprawie złożyło władzom w roku 1962 osiemnaście lubelskich instytucji naukowych i społecznych. Zaprottestowały: 1) Polskie Towarzystwo Przy-

rodników im. Kopernika w Lublinie, 2) Polskie Towarzystwo Biochemiczne, 3) Polskie Towarzystwo Fizjologiczne, 4) Polskie Towarzystwo Botaniczne, 5) Polskie Towarzystwo Zoologiczne, 6) Polskie Towarzystwo Geograficzne, 7) Polskie Towarzystwo Meteorologiczne i Hydrologiczne, 8) Polskie Towarzystwo Higieniczne, 9) Polskie Towarzystwo Leśne, 10) Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa, 11) Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Ogródnictwa, 12) Wojewódzki Komitet Ochrony Przyrody, 13) Liga Ochrony Przyrody, 14) Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej, 15) Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, 16) Instytut Medycyny Pracy i Higieny Wsi, 17) Wojewódzki Państwowy Inspektor Sanitarny, 18) Rada Ekonomiczno-Naukowa przy WKPG uchwaloną z lipca 1962 r. uznała w/w lokalizację za wysoce szkodliwą.

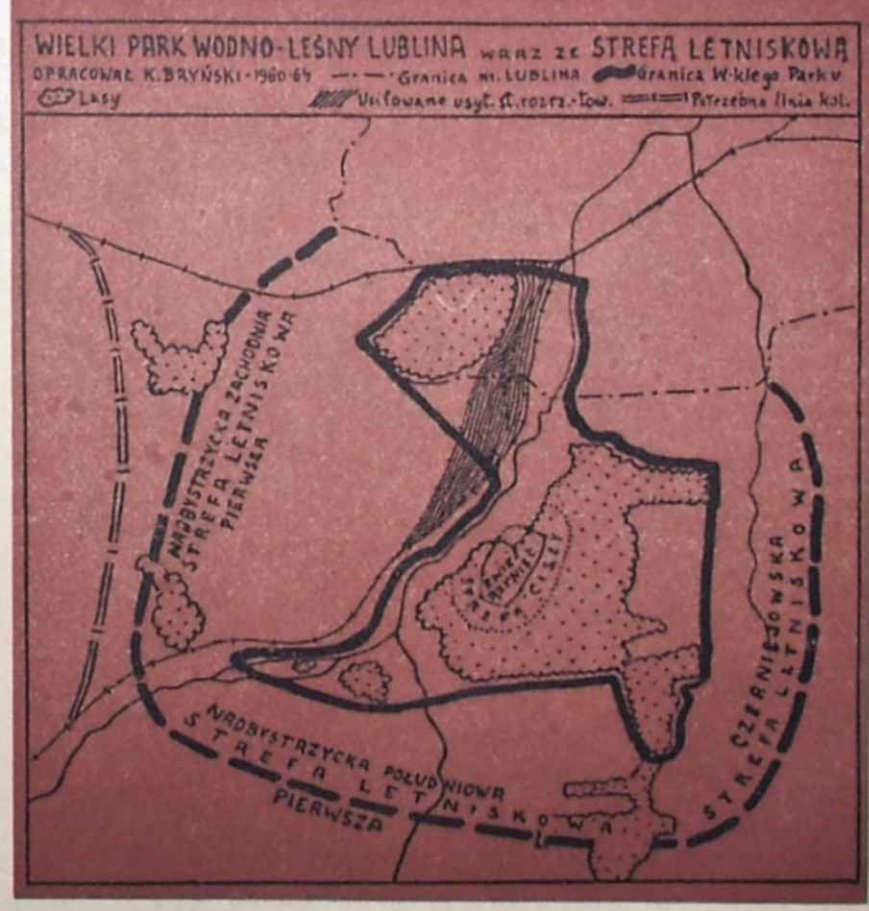
Sprzeciwili się też czynnicy urbanistyczne PMRN, WKPG oraz PWRN. Kategorycznie odmówiło też zgody Ministerstwo Zdrowia.

Uchwałą Nr 460/59 zobowiązał Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów władze miejskie i wojewódzkie Lublina do utworzenia ośrodka wypoczynku codziennego dla szerokiej rzesz ludności na obszarze Wrotkowa—Zemborzyc oraz zbudowania sztucznego jeziora w Zemborzycach. Pozytywnie też ocenił sprawę Komitet Budown. Urbanistyki i Architektury. W dniu 18.10.1963 Fizjograficzna Komisja Przyrodniczych Towarzystw Naukowych w Lublinie złożyła Ob. Przewodniczącemu Komisji Planowania przy Radzie Ministrów obszerny memoriał w tej sprawie, z załączeniem szeregu artykułów i schematycznych mapek.

Dlaczego przez szereg lat toleruje się tendencje nie postępu, ale zacofania, tendencje nie troski o parasettyśmianą ludność, ale petryfikowanie przetrwałych jeszcze z czasów carskich błędnych sytuacji, powstałych w okresie zacofania społecznego i tendencji angażowania kapitału przez przedsiębiorcze jednostki dla osobistych zysków, z całkowitym pominięciem warunków życia reszty społeczeństwa?

Sprawa usytuowania kolejowej stacji towarowo-rozrządowej w Lublinie zaczyna stawać się symbolem ścierania się troski o rzetelny postęp socjalistyczny, o dobro szerokich rzesz ludności, z egoizmem jednej gałęzi gospodarki narodowej nie odróżniającej warunków życia społeczeństwa dzisiejszego od warunków sprzed pół wieku, z okresu carskiego.

Czas zakończyć ten rabujący czas, wysiłek i niszczący nerwy ludzkie oraz źle oddziałujący wychowawczo, ośmioletni spór. Społeczeństwo oczekuje od właściwych czynników wkroczenia w tę sprawę i spowodowania sprawiedliwej decyzji, odpowiadającej rzetelnemu postępowi socjalistycznemu.





# Brawo dla studentów

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

**B**LISKI już jest, wydaje mi się, moment, kiedy ambitniejsze zespoły amatorskie będą w wydanej mierze uzupełniać działalność teatrów zawodowych zapoznając najszerszą pojęty teren z arcydziełami dramaturgii światowej. A nawet w stolicach wojewódzkich przedstawienia miłośników sztuki mogą niekiedy kompensować pewne niedobory życia teatralnego. Tak właśnie ma się rzecz w wypadku teatryku studentów Akademii Medycznej w Lublinie, „Dren 59”, który pokazał ostatnio społeczeństwu lubelskiemu „Pluskwę” Majakowskiego.

W ciągu swego istnienia powojennego nasz zawodowy teatr dramatyczny, dzisiejszy Teatr im. J. Osterwy, wystawił 14 sztuk rosyjskich i radzieckich. Liczba to niby niemała, tylko że kryje się za nią duża dysproporcja, bo aż 10 pozycji z tego dorobku przypada na pierwsze dziesięciolecie, podczas gdy na drugie — zaledwie 4. Sytuację pogarsza fakt, iż zarówno czechowski „Wujaszek Wania”, pięć lat temu, jak „Tragedia optymistyczna” Wsiewołoda Wysznińskiego, przed czterema laty, czy też „Maskarada” Lermontowa (w r. 1962) — zostały „położone” bądź przez mierną reżyserię, bądź przez nieodpowiednią obsadę. Pisałam niedawno, że warto było wystawić jedną ze znakomych sztuk radzieckich o rewolucji, zamiast słabej „Piątej kolumny” Hemingwaya, która zepsuła teatrowi frekwencję aż po dzień dzisiejszy. Niewątpliwym mankamentem repertuaru naszych lubelskich zawodowców był również brak w nim takich klasyków rosyjskich, jak Gogol, Ostrowski, Turgieniew, Lew Tolstoj, Dostojewski, Suchow-Kobylin...

No i wielki reformator Włodzimierz Majakowski. Szkoda, naprawdę szkoda, że Teatr Osterwy nie podjął ryzyka wystawienia wspaniałej „Łaźni”! Miejmy nadzieję, iż przygotowuje jakąś ciekawą pozycję na tegoroczny festiwal sztuk radzieckich. Tak czy inaczej, cieszymy się na razie z trafnego planowania repertuarowego studenckiego teatryku „Dren 59”, który już poprzednim swym programem, antyrewizjonistycznym „Pochodem nie w porę”, udowodnił, że może spełnić na naszym terenie rolę teatru politycznego, ostatnio zaś w niełatwej „komedii feerycznej” Majakowskiego osiągnął, dzięki reżyserkiej pracy aktorki Państwowej Teatru im. J. Osterwy, Danuty Zborowskiej, taki poziom artystyczny, że mimowoli nasuwa się wi-

dzio pytanie: czy właściwie należy dzisiaj wytyczać granicę „fachowości” pomiędzy rozwijającym się zespołem amatorskim a podpadającym zespołem zawodowym? Przecież już od dawna mówi się nagminnie o rewelacyjnych osiągnięciach teatryków studenckich, istnych wylegarni świeżych koncepcji scenicznych. Wiemy, co dała nam Stodola, wiemy, kim jest Biczyski.

Nie chcę, broń Boże, odradzać nauki w szkołach teatralnych (choć w stosunku do szkół plastycznych to się praktykuje), ale ktoś nie rozumie, że dyplom jest na scenie przydatny tylko o tyle, o ile łączy się z talentem i zapalem artystycznym. W teatrykach studenckich dobrą podbudowę pod działalność artystyczną stwarza kultura intelektualna osiągnięta w jakiegokolwiek specjalizacji plus nabywane dobrowolnie, z „amatorstwa” — z zamiłowania — wiadomości z zakresu wiedzy teatralnej. Wynoszenie „zawodowości” na obwarowany patentami piedestał jest chyba w dziedzinie życia teatralnego równym nonsensem, jakim byłoby w dziedzinie literatury (na szczęście Związek Literatów Polskich już w pierwszych latach swego istnienia zrezygnował z przymiotnika „zawodowy”). Wiadomo, w sztuce liczą się nie dyplomy, nie stopnie naukowe, lecz osiągnięcia artystyczne.

Toteż, gdy zespół miłośników teatru, pod kierunkiem prawdziwego reżysera, osiąga w przedstawieniu poziom, który można zakwalifikować bez taryfy ulgowej jako dobry, przedstawienie to należy omawiać z nie mniejszą powagą niż stosowana przy omawianiu przedstawień placówki uprawiającej działalność teatralną jako stały zawód, czyli bazującej na niej swój byt materialny. Traktując tedy zespół „Drenu 59” al parci z zespołem „zawodowym”, nie waham się przed zaatakowaniem na wstępie tego, co mi się wydaje w interpretacji „Pluskwy” raczej niesłuszne.

Majakowski pisał swoją satyrę jesienią 1928 r. Był to okres, kiedy właściwemu kształtowaniu się nowej kultury socjalistycznej zagrażała powrotna fala upodobań drobnomieszczańskich przejmowanych przez niedokształconą młodzież robotniczą. Działo się to trzydzieści pięć lat temu. Pokazany w „Pluskwie” poziom kulturalny ma już Związek Radziecki daleko poza sobą. Kładąc nacisk na specyfikę tego etapu, a zwłaszcza wprowadzając do spektaklu czastuski, w szczególności zaś do scenografii — wielki rosyjski napis z prapremierowego plakatu, ustawia się „Pluskwę” jako sztukę historyczną, sztukę z historii rewolucji rosyjskiej, podczas gdy satyra Majakowskiego ma w sobie jeszcze cały arsenal pocisków, którymi można dzisiaj skutecznie bombardować stare pokłady i nowe zasoby drobnomieszczaństwa, dulszczyzny, kolturnerii, pleniących się pod różnymi postaciami. Nauka „Pluskwy” pójdzie na pewno w las, jeśli widz nasz weźmie za dobrą monetę plakatowe oświadczenie:

*Niech cię nie gniewają  
figielki owada,  
nie o ciebie tu chodzi,  
lecz o twego sąsiada*

bo wszakże chodzi o każdego walcownika i koltuna pod każdą szerokością geograficzną, chodzi o groteskowy snobizm, o bezkrytyczne rozkochanie się w cudzoziemszczyźnie, o hołdowanie ekstrawagancjom mody, połączone często z dotkliwym brakiem kulturalnego obycia.

Sądzę, że skoro i tak dokonano się pewnych zmian w tekście autorskim, można było kosztem dodatkowych zabiegów uzyskać w stu procentach aktualną satyrę na przywary społeczeństwa, dla którego sztuka została wystawiona. Za bardzo atrakcyjną koncepcję reżyserką uważałabym, na przykład, próbę całkowitego zmodernizowania „Pluskwy”, z jazzem, rock-and-rollem, twistem, piosenkarstwem pseudoamerykańskim, „superelegancją” w toalecie i fryzurze, z wybujałą pewnością siebie w zachowaniu.

Jest to zasadnicza uwaga krytyczna w stosunku do koncepcji interpretacyjnej. Natomiast w ramach koncepcji przyjętej przez reżyserkę sztuka została opracowana bez zarzutu. Wszystkie elementy cyrkowo-kabaretowe wykorzystano w pełni. Nie obawiamy się „cyrku”. Majkowski go lubił, cenil jego ludowość, chciał go mieć jak najwięcej w swoich sztukach. Cieszyłby się na pewno, że „Pluskwa” dostała się do rąk zespołu, który liczy w swoim gronie kilku zdolnych aktorów kabaretowych. Przedstawienie wywołuje salwy śmiechu na całej swej rozciągłości. Trudno nawet powiedzieć, co się podoba najbardziej. Znakomita jest scena „małego NEP-u”, prywatnego handelku przed wejściem do uniwersalnego domu towarowego, i scena wesela „Pierre’a”, byłego robotnika, tę-

sknającemu obecnie do „eleganckiego” życia na cichej przystani, i scena odrażania dwóch „pluskwów”, tej w dosłownym znaczeniu oraz tej drugiej pasyzytującej na społeczeństwie, i cała część II, na wesoło traktująca zmechanizowane życie po pięćdziesięciu latach (Majakowski widział zmiany przyszłościowe w extra-szybkim tempie). Może tylko scena w hotelu młodzieżowym wymagała większego kontrastu między normalną młodzieżą a tym, kogo nęci... dolce vita.

Satyra Majakowskiego ma znamie tej nowoczesności lat dwudziestych naszego stulecia, do której się dzisiaj wraca w poszukiwaniu nowego. A więc są tu odważne volty w czasie, śmiałe zaostżenia umowności obok konkretów wychwyconych z kroniki wypadków. Zanim Majakowski zabrał się do pisania „Pluskwy” współpracował przeszło rok z „Komsomolską Prawdą”. Przy tej sposobności poznawał różne fakty i fakciki z życia młodzieży. Jak bogatego materiału faktograficznego może dostarczyć praca w gazecie, przekonał się niedawno na przykładzie teatryku dziennikarzy kieleckich. W przedstawieniu zespołu „Dren 59” ten ton „gazetowy” znalazł żywy rezonans.

Postacie „Pluskwy” są syntetyzowane w nieomylnie rozpoznawalne typy, są stylizowane odpowiednio do powierzonych im w sztuce funkcji zawodowych. Wymagało to tylko sprawnego zgrania zespołowego, co też się sympatycznym dremowcom najzupełniej udało. Łatwą do przerysowania postaci „byłego robotnika, byłego partyjnika, obecnie narzeczonego” odtworzył z talentem i dobrym gustem Piotr Suchora, po którym należy się spodziewać dalszych sukcesów. Kapitałny też był Aleksander Luckiewicz w roli Olega Bajana, hochsztaplera, jakich nie brakuje na wzburzonych nurtach dziejowych, — mentora Prisyppkina-Skripkina w „eleganckim” stylu życia. Osobna wzmianka należy się Danucie Wójtowicz, dowcipnej interpretatorce postaci Rozalii Renesas, właścicielki zakładu fryzjerskiego. Krzywdę by się wyrządziło zespołowi (z A. Luckiewiczem na czele), gdyby się nie wymienilo pozostałych uczestników ambitnego przedsięwzięcia. Są to: Jerzy Beer, Jerzy Kurczab (zabawny Profesor), Zbigniew Późoga, Piotr Szczepanik, Teresa Szczurowicz, Andrzej Szczurowicz, Halina Wierzbicka. Wszyscy oni zapewnił spektaklowi powodzenie swoim bezinteresownym entuzjazmem.

Dużo też zrobił dla sztuki fachowy choreograf w osobie Zbigniewa Kwiatkowskiego.

Muzyka, wesoła i skoczna, zalatywała trochę Fiorenzo Carpa i Ryszardem Schreiterem z „Archaniołów”, zresztą słucha się jej z przyjemnością.

Na końcu jeszcze dobre słowo pod adresem Danuty Zborowskiej. Koncepcja reżyserka zawsze może podlegać dyskusji, ale raz przyjęta, musi być realizowana konsekwentnie. Danuta Zborowska, znana już aktorka, dopiero rozpoczęła karierę reżysera. Otóż jednolitość stylu, z jaką inscenizowała „Pluskwę” Majakowskiego, świadczy niewątpliwie o talencie reżyserkim. Pod kierunkiem p. Danuty aktorki „Drenu 59” zrobili ogromny krok naprzód.



Piotr Suchora w roli Prisyppkina-Skripkina

## MEDYCYNA I TEATR

LECH HORST

**P**OWSTAŁ w październiku 1958 roku. Kilku członków chóru Akademii Medycznej przygotowało składankę estradową. Program nazywał się „Radiostacja młodości” i składały się na niego piosenki, monologi i skecze. Premiera odbyła się 8 listopada w Klubie Profesora. Niski poziom składanki nie ostudził zapala medyków, którzy już w grudniu przystąpili do prób nowego programu. Tym razem zwrócili się o pomoc do aktora Teatru im. Osterwy Lecha Skolimowskiego, który na długie miesiące został opiekunem i reżyserem zespołu. Nowy program „Co ma piernik do wiatraka” nie odbiegał daleko od poprzedniego ani pod względem wartości artystycznych, ani problematyki. A tymczasem grupa zapalczewców rosła.

W październiku 1959 roku zespół przyjął nazwę „Dren-59”, związana słowem „dren” z medycyną, a cyfrą „59” oznaczającą nowy start. Równocześnie z obrabianiem nazwy zespół otrząsnął się z naleciałości estrady i postanowił pracować jako typowy kabaret studencki. Mimo najlepszych chęci i zamiarów, dwa następne programy: „Mała kawiarenka” i „Pół szklanki wody”, oparte na tekstach najlepszych polskich sa-

tyryków, nie przysporzyły zespołowi laurów. Płytkie i oderwane od środowiska, szybko straciły sympatię publiczności i poszły w niepamięć.

Przełomowy moment w pracy Drenu nastąpił jeszcze w tym samym roku. Sięgnięto do własnych pomysłów. Powstały pierwsze teksty, piosenki, black-outy i nowy program „Nasze morza/je”, a z nim pierwszy sukces zespołu: owocne przyjęcie widowni lubelskiej i wyróżnienie na II Przeglądzie Studenckich Zespołów Artystycznych Białegostoku, Lublina, Olsztyna i Warszawy.

Z nowym rokiem akademickim 1960/61 Dren rozpoczął pracę w klubie medyków lubelskich „Dziurka”, pod kierownictwem Jana Biczyskiego. Na warsztacie znów składanka satyryczna, pt. „Kontrasty”. Dobry program szybko znalazł „kupców” i za kilka dni zespół rozpoczął regularne występy w klubie dziennikarzy „Nora” przy wypełnionej po brzegi widowni. Jednocześnie przygotowano nowy program — „Babcia i wnuczek” według K. I. Galczyńskiego. Z tymi dwoma programami pojechali dremowcy do Warszawy na I Ogólnopolski Przegląd Zespołów Artystycznych Medyków. Rezultat — i miejsce oraz nagroda Ministerstwa Zdrowia.

W kilka tygodni później Dren został wyróżniony w Gdańsku na Ogólnopolskim Festiwalu Kulturalnym Studentów.

Teraz Dren sięgnął po dramat. „Kryształ Kolomb” Michele de Ghelderode był kolejnym sukcesem.

Aktualna sytuacja polityczna, odradzająca się militarystyczny zachodnoniemiecki i związana z tym groźba nowej wojny — znalazły odbicie w następnym programie Drenu „Pochód nie w porę”. Jest to program wymierzony przeciwko rewizjonizmowi zachodnoniemieckiemu, utrzymany

(Dokończenie na str. 13)





Hieronim Skurpinski — Rodzina (piórko i tusz lawoceny)

**Z** WYSTAW otwartych w pierwszej dekadzie marca br. dwie zwracają uwagę ilością zgromadzonych prac i wyborem miejsca. Są to ekspozycje malarstwa i rysunków Hieronima Skurpiskiego i Tadeusza Słowińskiego czynne w salach lubelskiego BWA.

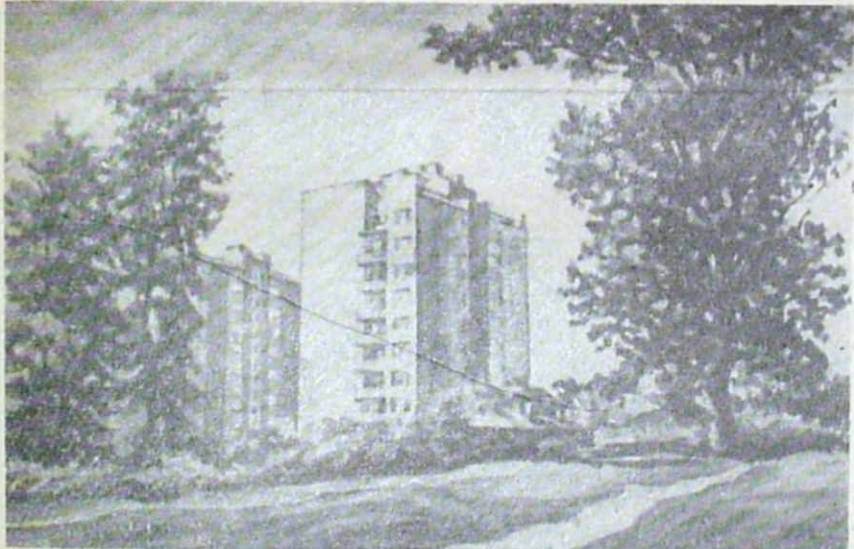
Hieronim Skurpinski aktualnie zamieszkały w Olsztynie, podczas okupacji przebywał w Lublinie, a po wyzwoleniu brał udział w pierwszych powojennych wystawach ZPAP na terenie naszego miasta w roku 1944. Obecnie pokazał kilkadziesiąt prac malarskich i rysunków o bardzo różnicowanym poziomie. Obok figuralnych akwrel wykazujących znaczną wrażliwość kolorystyczną (którą pomimo to można uznać jedynie za etudy malarskie), zwraca uwagę interesująca grupa rysunków operujących delikatną i ostrą kreską jako zasadniczym elementem graficznej koncepcji w tej grupie. Skurpinski zrezygnował z całego arsenału środków tradycyjnego rysunku walorowego, dając w rezultacie niezwykle syntetyczne, ukształtowane kilkoma zaledwie kreskami dziełka, interpretujące zazwyczaj postać ludzką („Portret p. M.”). Wśród licznych prac olejnych zwraca

uwagę niewielka „Martwa natura z rogalikami” (ujętymi w znacznym zbliżeniu, celowo wyeksponowanymi). Wśród motywów twórczości Skurpiskiego zdecydowanie przeważa postać ludzka, najczęściej — kobieca. Czasami potraktowana monumentalnie i ekspresyjnie („Matka z dzieckiem”), w innych wypadkach jedynie namalowana i pozbawiona mocy sugestii. Obok wspomnianych wartościowych realizacji, wystawił Skurpinski szereg prac rozwiązujących stosunkowo znane zagadnienia malarskie. I właśnie ta różnorodność i wtórność pewnych koncepcji, od postimpresjonizmu począwszy („Rabanie drzewa”), po „klasycyzujące” portrety („Wiesio”) i prymitywizujące pejzaże miejskie — nie pozwalają mówić o jednolitym charakterze tej twórczości, co nie wyklucza oczywiście obecności poszczególnych dość interesujących prac.

Tadeusz Słowiński, znany na terenie Lublina z wieloletniej działalności pedagogicznej i twórczości artystycznej, wystawił kilkadziesiąt rysunków, akwrel i prac olejnych, których wspólnym mianownikiem, rozumianym jako zasadnicza problematyka

malarska, jest nie wypowiedziane słownie, ale namalowane i narysowane credo: „jak najbliższej natury i architektury”. Skądinąd słuszne założenie nie przyniosło zbyt ciekawych rezultatów. Przenosi Słowiński na papier motywy architektury Lublina i Puław, maluje Zakopane, Bałtyk i „Traktor przy pracy” i ulega im zupełnie. W tym sensie, że jest im wierny i w ten sposób je kształtuje na podobrazu: sentymentalnie („Szczawnica I”), dokumentalnie i rejestrująco („Głowice kolumn w świątyni Sybilli”). W wypadkach, kiedy zrezygnował jednak z obiektywnego spojrzenia na świat (a przecież „artystyczny” to także „subiektywny”) i dostrzegł zespoły rytmicznie odpływających pasów utworzonych z rzędów zabudowy ulic miejskich („Lublin — widok ogólny”) oraz geometryczne układy targowych kramów widzialnych z oddalenia („Targowisko na Podzamczu”), dał znać o sobie twórcą wrażliwy, który potrafi przeniknąć zbanalizowane i potoczne wyglądy rzeczy, dostrzegając nowe i odkrywając ich aspekty.

**I. J. Kamiński**



Tadeusz Słowiński — Pejzaż z wieżowcami (akwarela)

miejsce nie przekracza obecnie 10%. Te koncepcje aprobują naczelnicy czynniki administracji.

Zagadnienie aktywizacji małych miast w drodze podniesienia ich produkcji drobnoprzemysłowej, w szczególności rzemieślniczej, ma aspekt nie tylko „zatrudnieniowy”, nie tylko „usługowy”, ale i kulturowy. W państwie socjalistycznym powinno nastąpić wyrównanie poziomu cywilizacyjnego na całym obszarze kraju. Powinno zniknąć różnica pod tym względem między wsią a miastem. Podniesienie uprzemysłowienia małych miast i — co za tym idzie — podniesienie w nich kultury bytowania uczyni z nich ośrodki kulturowe dla okolicznych wsi.

Warunkiem rozwoju małych miast jest pozyskanie dobrych pracowników ze środowiska wiejskiego. Dotąd tego pracownika pociągało wielkie miasto. Zabierało ono najlepszy element wiejski. Małe miasto nie może pociągnąć młodego człowieka wizją kariery w wielkim przemyśle, tylko w przemyśle drobnym, rzemieślniczym, ale żeby młody człowiek dał się skusić taką perspektywą, trzeba uczynić drobny przemysł atrakcyjnym. Dotąd fakty przekonywały go, że nie ma dla niego miejsca w rzemiośle.

Żeby przekonać młodego człowieka o przeciwnym, trzeba zmieniać fakt y. Nowe fakty świadczące o zmianie stosunku do rzemioła w Polsce Ludowej, o jego faktycznym równouprawnieniu mogą wpoić w młodego człowieka przekonanie, że nie tylko praca w fabryce, ale i w warsztacie rzemieślniczym, uczyni żeń pracownika otoczonego takim samym szacunkiem i zaufaniem, co robotnik wielkiego zakładu przemysłowego. A oto jeszcze jeden warunek uczynienia warsztatu

(Dokończenie ze str. 12)

w klimacie dawnych agit teatrów i „gazeł teatralnych” rosyjskich i niemieckich, operujących groteską, burleską, ostrym rytmem scenicznym. „Pochód nie w porę” przyjmowany był wszędzie z wielkim entuzjazmem, a Dren zyskał miano teatru politycznego.

Jesienią 1963 roku za całokształt pracy artystycznej i ideowo-wychowawczej Dren otrzymał nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W dniach 29 lutego i 1 marca br. Studencki Teatrzyk Dren-59 uroczystie obchodził jubileusz pięcioletnia swego istnienia. W uroczystościach wzięli udział między innymi Jerzy Topolitz, rektor PWSTiF w Łodzi, Andrzej Drawicz, przedstawiciel studenckich teatrzyków, przedstawiciel Senatu Akademii Medycznej z rektorem prof. dr Mieczysławem Stelmasiakiem, przedstawiciele wojewódzkich i miejskich władz partyjnych i administracyjnych, związków zawodowych i zakładów pracy, z którymi współpracował Dren. Napłynęły również liczne telegramy z gratulacjami. Uroczystości jubileuszowe rozpoczęła premiera czternasta z kolei. Wystawiono „Pluskwę” Majakowskiego, wyreżyserowaną przez aktorkę Teatru im. Osterwy Daniełę Zborowską.

Po premierze zasłużeni działacze Drenu otrzymali nagrody Wydziału Kultury WRN, Wojewódzkiego Domu Kultury i rektora Akademii Medycznej w Lublinie. Następnego dnia odbyło się seminarium nt. „Miejsce Drenu w studenckim ruchu teatralnym”, prowadzone przez Andrzeja Drawicza.

Dlaczego właśnie medycy, mimo tylu niesprzyjających warunków potrafili stworzyć klimat dla pełnego i rozwoju zamilowań i talentów oraz wychować cały szereg dobrych zespołów artystycznych, z Drenem na czele, i dlaczego ten właśnie Dren istnieje tak długo i stale odnosi sukcesy?

Zlośliwi twierdzą, że na medycynie uczą się studenci, których nie stać na nic innego, jak tylko na bezmyślne wkuwanie na pamięć terminów medycznych.

Powszechnie znany jest wysoki „wskaźnik trudności” studiów medycznych w porównaniu z innymi kierunkami. Najduższe studia — sześć lat, z nierównomiernie rozłożonym programem, brak sesji zimowych i egzaminów połowkowych, a co się z tym wiąże, bardzo ciężka sesja letnia, pochłaniająca masę czasu: 40-50 godzin zajęć tygodniowo plus bardzo liczne kolokwia, wymagające wielu wyrezeń i rezygnacji z zainteresowania i niektórych form wypoczynku czy zabaw.

Taka właśnie atmosfera wokół Akademii Medycznej wytworzyła u adeptów Eskulapa bardzo zdrową ambicję — udowodnienia, że medycy „...nie gesi iż swój język maja”. A sam charakter studiów różnił u nich samozaparcie i zdolność do poświęceń.

Jest tedy rzeczą naturalną, że właśnie na Akademii Medycznej powstała już w 1958 roku Estrada jako jedyny wówczas studencki zespół w Lublinie. W najtrudniejszym okresie górę wzięła ambicja medyków, nie jako artystów-amatorów, lecz jako studentów wykpiwanej i ośmieszanej uczelni.

Dzięki temu Estrada przetrwała okres niepewności na scenach lubelskich i nie rozspalała się, jak inne powstałe potem zespoły, reprezentujące często już ze starą wyższym poziomem artystycznym (np. Kabaret UMCS „Alabama”).

Programy tworzone były z myślą o potrzebach środowiska, miasta i coraz częściej — kraju.

Zginęły u drenowców ambicje, dojrzała koncepcja służenia społeczeństwu. Teatrzyk studencki stał się szkołą wychowania obywatelskiego przyszłej inteligencji — młodzieży akademickiej.

**Lech Horst**

**Równouprawnienie rzemiosła**

(Dokończenie ze str. 10)

osiedlami promieniującymi kulturą i zatrudnieniem na obszary wiejskie — obok innych „urbanizujących” wieś osiedli.

Wchodzimy w okres wyżu demograficznego. Nadwyżki rąk roboczych na wsi będą wzrastać w rozmiarach, które nie znajdują pokrycia w chłonności demograficznej większych miast. Te

nadwyżki powinny znaleźć zatrudnienie w małych miasteczkach. Wspomniane „tezy wareskie” postulują lokalizowanie w nieuprzemysłowionych miasteczkach drobnych zakładów przemysłowych, przede wszystkim usługowych. Jest tam w tej chwili dużo miejsca na tego rodzaju zakłady: zatrudnienie ludności 180 miasteczek w przemyśle i w szczególności w rze-

(Dokończenie ze str. 4)

Mamy jeszcze niemało czasu do końca roku. Spotkania pokoleń potrzebne są nie tylko na szczeblu wojewódzkim, ale i powiatowe, miejskie, gromadzkie. Oczywiście również dobrze przemyślane. To świetna metoda wychowawcza, to najlepsza konfrontacja, znakomita ilustracja osłabnięć naszego dwudziestolecia.

Wiadomo, że w lipcu odbędzie się dwutygodniowe zgrupowanie młodzieży pod Warszawą. Zamiast innych, prawdopodobnie ważnych zajęć, wolno zaproponować, aby młodzież, któ-

ra będzie reprezentowała dwudziestolatków z całego kraju, spotykała się codziennie z ludźmi wychowanymi w tamtej epoce. Warunki obywatelskie nadadzą tym zwierzeniom jeszcze więcej uroku.

I jeszcze jedna ważna sprawa. Nikt nie notuje tych zwierzeń, zresztą jednej i drugiej strony. Boć przecie i opowieści tych najmłodszych są nie mniej pasjonujące. A przecież mamy już w każdym powiecie kilkanaście magnetofonów. Taśm nie brakuje. Nagrywać! Wszystkie bez wyjątku. Niech się przechowywają w kro-

rzemieślniczego atrakcyjnym miejscem pracy. Zakład rzemieślniczy nie może być brudnym warsztatem gnieżdżącym się w zatechłej porze, gdzie pracę wykonuje się prymitywnymi narzędziami w warunkach urągających elementarnej higienie i estetyce. Warsztat rzemieślniczy musi lśnić czystością i techną kulturą — niczym wielki zakład przemysłowy, powinien stwarzać warunki pracy „na bazie najwyższej (możliwej w małym warsztacie) techniki”, a więc warunki czyniące pracę optymalnie lekką i przyjemną, otwierającą pole dla zaspokojenia ambicji jednostek mających poczucie godności własnej.

Dopiero realizacja tego kompleksu warunków sprawić może, że hasło równouprawnienia rzemiosła nie pozostanie na papierze.

**Emanuel Iserzon**

**POKOŁENIA**

nikach gromadzkich, w archiwach ZNP, ZMW, szkół. Toż to najważniejszy dokument, którego strzec trzeba jak oka w głowie. Za kilka lat dorastające, nie uczestniczące dziś w spotkaniach pokolenie, odtwarzać będzie przebieg tych spotkań bodaj z większym jeszcze zainteresowaniem, w innych warunkach, zgola z innym uczuciem.

Wykorzystać plękną, łatwą do realizowania inicjatywę. Ekspens znikomy, korzyści niewymierne.

**Waldemar Babiniec**





**S**TEFAN Żółkiewski po raz nie wiadomo który powraca do sprawy centralnej dla współczesnej kultury — do zagadnień kultury masowej. Uczynił to w niezwykle interesującym artykule pt. „Konsekwencje nowej techniki w upowszechnianiu kultury”, publikowanym w „Nowych Drożach”. Punktem wyjścia jego uwag jest stwierdzenie, że o typie kultury rozstrzyga jej wyposażenie materialne, a przede wszystkim techniczny charakter środków, dzięki którym rozpowszechnia się i powiela dobra kulturalne. Te środki — to radio, film, telewizja, wysokonakładowe czasopisma i magazyny. Charakter tych środków oddziaływa na odbiorcę i na sposób jego uczestnictwa w kulturze.

Środki te docierają równocześnie wszędzie, przewyższając odległości, przekraczając granice lokalnych kultur, jednocząc przez to kulturalnie duże i różnorodne zbiorowości. Sprzyjają więc zanikowi tradycyjnych, ludowych form uczestnictwa w kulturze, pojmowanego jako święto, przyczyniając się do upowszechniania wielkomięjskiego stylu życia. Rozmaite poziomy kulturalny adresata sprzyja także uproszczeniu przeżywania trudnych i wartościowych treści, tworzeniu się łatwo przyswajalnej papki tracącej ostrość stylu. Charakter środków upowszechniających faworyzuje przede wszystkim wizualne formy przeżywania wartości kulturowych. Miejsce, gdzie odbywa się przyjmowanie dóbr kulturalnych (sala kinowa, dom kultury) dalekie jest od „świętyni sztuki”. Rodzi się tu kultura odpoczynku, rozrywki, spędzania wolnego czasu.

Rozwój sieci środków upowszechniania kultury świadczy o tym, jak rozwijał się typ tej kultury. Przykład tradycyjnego uczestnictwa w kulturze — biblioteki, nowoczesnego — kino. Po analizie ilościowego wzrostu u nas środków masowego przekazu dóbr kulturalnych autor zwraca uwagę na nowe tendencje. Wnioski jego dotyczą całej polityki kulturalnej, odpowiednich inwestycji. „Pomnikiem bezmyślnego błędu w tym zakresie jest

budowa największej, najnowocześniejszej starożywieckiej opery w Warszawie”. Stąd postulat odpowiedniej proporcji wydatków, uprzywilejowania tych środków przekazu, które unowocześniają i wzbogacają pracę kulturalną. Ale myśl Żółkiewskiego nie jest krańcowa: nie lekceważy tradycyjnych instytucji kulturalnych — teatru, biblioteki, muzeum, stowarzyszeń kulturalnych, ruchu amatorskiego. „To są bowiem, zdaniem autora, uprzywilejowane instytucje nowatorstwa kulturalnego, poszukiwań ideowych i stylowych”. Tu będzie się odbywać walka o nowy styl kultury.

Z bogatego i bardzo ciekawego świątecznego „Życia Literackiego” (Gawlik pisze o Plocku, Przybós o Peiperze, Kwiatkowski o Iwaszkiewicz, Greń o Schillerze, Kydryński o Eichlerównie) odnotujmy interesujący reportaż Z. Kwiatkowskiego „Kariery — gdzie jesteście?”, będący kontynuacją poprzednio drukowanego reportażu „O awans awansu”. Awans — to przesunięcie pracownika na wyższe stanowisko. Kariery — to zdobywanie go. W pierwszym wypadku chodzi o postawę bierną, w drugim o czynną. Czy — pyta reporter — w kraju masowego awansu, jakim jest Polska, równie masowe jest zjawisko robienia kariery? Odpowiedź nie jest tak pewna, by nie powiedzieć — negatywna. W Polsce kariery nigdy nie miała dobrej prasy, była prawie zawsze podejrzana. Kariery w nas, co jest zdaniem autora unikatem w skali światowej — nie ceni się. Ta tradycja historyczna działa i w warunkach socjalizmu. Ale doszły i inne powody jej dzisiejszej niepopularności. Kariery się nie dzieje. Kariery rzadko się oplaca, czasami przynosi nawet straty (choćby w wynagrodzeniu). Dlatego czasem ludzie na kierowniczych stanowiskach są zmuszeni do ich piastowania. Na postawione kilkunastu dyrektorom pytania, o czym marzą, 12 odpowiedziało: o świętym spokoju, 2 — o poszerzeniu zakresu inicjatywy. Bowiem o losie dyrektora decydują WSKAŹNIKI, a nie charakter.

Dlatego wniosek końcowy, to apel o rehabilitację kariery:

„Aby się to mogło zrealizować, musi zostać spełniony warunek podstawowy: musi dojść do uruchomienia gry sił. Jeśli mówię o sile to o jednej: sile charakteru mierzonej wiernością zasadom, ale i czułością wobec zasad. Powaga w traktowaniu ustalonego porządku społecznego, ale i odwaga w poszukiwaniu nowych rozwiązań. Poczuciem odpowiedzialności, ale i inicjatywą (...). Ale nie ludźmi się — charakter, żeby się pojawił jako ważny element, musi się opłacać. Charakter, który ma być fundamentem kariery, musi być ceniony w gronie rodziny czy przyjaciół — to dla kariery nie ma znaczenia — musi mieć swój walor w społeczeństwie. W grupie zawodowej, w środowisku”.

T. K.

## Drzazgi społeczne

### FIŃSKI kawałek szkła

**W**ŁASNIE skończyłem czytać artykuł Otwinouskiego pt. „Finlandia czyli przyroda i tad ludzki” zamieszczony w poprzednim numerze „Kamenu”. Autor mówi o książce znanej fińskiej pisarki Sylwii Kekkonen. Bohaterka jej, Amalia, jedzie rowerem i ma wypadek. Natrafiła na kawałek szkła, który przeciął dętkę. Spada na ziemię. Wstaje i prowadzi rower. Ale czuje się markotna, bo jest przekonana, że postąpiła źle. Powinna była pozostawić tego kawałka szkła i odrzucić go daleko od drogi, bo ktoś inny, idący bosą, mógłby się na niego natknąć i skaleczyć nogę. Takie są myśli Amalii.

Zamyśliłem się i ja i przez skojarzenie zaczynam sobie przypominać. Aha! To było w czerwcu ubiegłego roku w Uście. Szedłem leśną ścieżką na plażę. Nagle coś łomotnęło mi nad głową i posypał się grad odłamków szkła. Na szczęście żaden nie spadł na mnie. A butelka musiała być duża. Przycupnąłem za drzewem i zacząłem badać teren. O dwadzieścia, trzydzieści metrów na piaszczystym wzgórzu stał dom czasowy. Obok niego na piachu roz-

łożone były koce i leżało kilku roznieglizowanych osobników. Reprezentowali, tak z wyglądu, sferę pracowniczą. Widocznie nie chcieli im się iść nad morze, więc rozłożyli się na słoneczku i obstawili butelkami. Uzupełniali najwyraźniej czasowe śniadanie... A każdą pustą butelką rzucali, jak dyskiem. W las, ale tylko w chwili, gdy ktoś przechodził ścieżką. Rozbita o pień drzewa butelka działała jak szrapnel. Popatrzyłem. Ich kilku, a ja jeden. Czy jest sens w tej sytuacji zgłaszać pretenzje?

Poczułem daleki i poczuciem niedosytu...

Idąc plażą, na szczęście w pantoflach, zauważyłem to tu, to tam sterzące z piasku duże odłamki butelkowego szkła. Zacząłem je wyjmować i odrzucać na bok. Chyba nie przypadkiem tu się znalazły. Wygądało na to, że celowo je powaszczano z myślą, że ktoś bosą nogą natknie się na nie.

Minęło kilka miesięcy. We wrześniu bawilem przez kilka dni w Sopocie i korzystalem z plaży Grand-Hotelu. Plaża jest zamknięta — otoczona płotem. Wstęp tylko za biletemi. Są pracownicy pilnujący porządku. I oto nagle spostrzegłem duże ilości szkła z rozbitych butelek. I też odłamki misternie powaszczane w piasek. Co gorzej, w wodzie tuż przy brzegu było ich sporo. A więc i tu trafiła pewna ilość pewnej kategorii czasowiczów... Widocznie moda na specyficzne „kawałki” szybko się rozprzestrzeniła.

## POMYŁKA

**B**ILET tramwajowy kosztuje tanio; jeśli jedziesz i trafiasz nosem w czyjeś zamknięte drzwi, albo podano ci nie ten adres i po prostu nie możesz trafić, słowem gdy jedziesz zupełnie niepożebnie, wtedy przypominasz sobie, że cała podróż kosztowała tylko 50 groszy. Martwi cię stracony czas, może i zakłiesz sobie z polską, ale w końcu to tylko drobne groszaki brzęknęły do torby konduktora. Bywa gorzej, ba, nawet dużo gorzej, a jak bywa — opowiem.

Więc najpierw w pewnej fabryce w Kielcach przemyślano jakby tu pomnożyć własne doświadczenia o dorobek zagranicznych producentów. Świece samochodowe produkuje się nie tylko w Zakładach „Iskra” w Polsce. Jechać i uczyć się. — Dobrze — powiedziano w Zjednoczeniu.

Zakład wysyłał ludzi, zaopatrzony w błogosławieństwo, pouczył co powinni podpatrywać, a co pro domo sua zachować w sekrecie. Kazano godnie ambasadorów ojczyźnie, pamiętać o domu, wystrzegać się powabów nocnego życia, jako że kraj „docelowy” miał być kapitalistyczny, więc nie wiadomo, czy dwaj spece z „Iskry” sami nie zaiskrzyli się na widok jakiegoś streap tease.

Jednostka nadrzędna wreszcie dała znać, że wyjazd został zatwierdzony. Nie było jak — stypendium na całe dwa miesiące i bądź co bądź w kraju nieźle uprzemysłowionym, w Belgii. Z górą tysiąc kilometrów, a więc nie za jedne 50 groszy jak z Zoliborza na Mokotów.

A papierków do tego trzeba co niemiara. Same kwestionariusze paszportowe — istna Scylla i Charybda dla własnej pamięci, która musi odgrzebywać różne fakty, nawet i takie, co to człowiek albo na prawdę zapomniał, albo chciałby zapomnieć. Wprawdzie całe wielkie ministerstwo jest po części od tego, aby te kwestionariusze czytać, parafować i ostemplować, ale zawsze to żal, że ludzie się tyle namęczą. Celnicy — też z rodzaju ludzkiego. Muszą czytać deklarację celno-deklaracyjną, zaglądać do walizek, wypytywać, słowem pracować, co czyniąć męczą się.

Zresztą może niepotrzebnie tak się lituję nad tym trudem. Wszak Tuwim już dawno tłumaczył w pewnym wierszyku dzieciom, że dla zbudowania jednego stołu trzeba było nie tyle jakieś harówki drwali, pary koni, zębatach pił w tartaku, a na koniec niezbędne były mozoły warszawskiego stolarza pana Wiśniewskiego, który heblował, mierzył i kleił. Może ja naprawdę przesadzam z tymi kwestionariuszami, celnikami i paszportami. Męczą się, a niech tam, wszak na tym polega ich zawód. Ostatecznie cóż znaczy wysyłka dwóch inżynierów z Zakładów Precyzyjnych „Iskra” w Kielcach, skoro za granicę wyjeżdżają tysiące rodaków. Parę stempli więcej, parę mniej nie robi różnicy. Pał sześć te dewizy, które trzeba było dać wyjeżdżającym, jako że na złotówki Belgowie się nie potakomią, chyba jakiś numizmat. Bierz i licho zakład macierzysty, że dwóch fachowców musiał pożegnać. Wyjdzie to w końcu na dobre, bo ci, którzy zostaną, popracują wydatniej zagrzewani nadzieją, że ich wysłannicy przyniosą trochę nowinek technicznych z dziedziny produkcji świec. Więc o co tu kruszyć kopie?

Właściwie o nic, bo to doprawdy drobiazgi, że — jak się potem okazało — w całej Belgii nie ma i nigdy nie było żadnej fabryki świec samochodowych. Pomyłki chodzą po ludziach.

Jędrzej

## KRONIKA KULTURALNA

### LUBLIN

**W SZKOLE NR 19** przy ul. Szkolnej 12 w Lublinie odbył się 21 marca 1964 r. w związku z 61 rocznicą urodzin uroczysty apel ku czci patrona tej szkoły, Józefa Czechowicza. Szkoła ta jest żywym pomnikiem wybitnego poety, lublinianina, który z zawodu był nauczycielem i wiele lat poświęcił pracy nauczycielskiej. Apel rozpoczął się o godzinie 8 rano. W przepięknej sali gimnastycznej szkoły zgromadzona była młodzież i zespół nauczycielski. Zagał uroczystość kierownik szkoły p. Stanisław Grygiel, po czym chórci chłopców i dziewcząt (szkoła jest koedukacyjna) recytował utwory poety. Były one żywą ilustracją życiorysu patrona szkoły. Recytował życiorys jeden z uczniów. W poszczególne fragmenty tego jakby opowiadania o życiu poety wplacenie były, bardzo udatnie, wiersze tworzone w różnych okresach. Recytacje przygotowane zostały pod kierownictwem nauczycielki p. Jadwigi Tuszewskiej. Następnie po części recytatorskiej prelekcję wygłosił przedstawiciel Związku Literatów Polskich w Lublinie, Waclaw Gralewski. Na tło życiorysu rzucił on szereg obrazów, pokazując w nich człowieka, który urodził

W tym okresie od jednego z znajomych lekarzy dowiedziałem się o wypadku pracownika służby zdrowia ze Śląska. Był na czasach, wszedł do wody i trafił na szkło. Stał tak nieśczęśliwie, że przeciął sobie ścięgno. Dotychczas jest w szpitalu.

Zastanawiam się nad tymi sprawami i czuję, co tu owijać w bawełnę, beznadziejnie.

Pamiętam, że opowiadałem o tym pewnemu starszemu panu na poważnym stanowisku. Wysłuchał, a potem wykrzyknął: „Ależ przed wojną byłoby to niemożliwe!”

— Widzi pan — odpowiedziałem spokojnie — po to była wojna, aby to było możliwe!...

Nos

się, żył i przez wiele lat tworzył w Lublinie. Więcej z rodzinnym miastem są bardzo uwypuklone w jego poezji, a wspomnienia o nim przyjaciół i ludzi bliskich podkreślają je silnie.

Powyższy uroczysty apel w 25-lecie śmierci poety jest jakby zapoczątkowaniem uroczystości Roku Czechowiczowskiego w Lublinie.

**W III KRAJOWYM ZJEZDZIE WZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO** w Warszawie osiemnastodniowy zjazd zgrupowania lubelskich harcerzy reprezentowało 14 delegatów. W pierwszym dniu zjazdu, na posiedzeniu przedpołudniowym, obradom przewodniczyła komendantka chorągwi lubelskiej Alina Wdowiak.

**W KLUBIE „NORA”**, w związku z premierą lubelską filmu „Koniec naszego świata”, lubelskie środowisko kulturalne gościło twórców filmu, na czele z reżyserem — Wandą Jakubowską. W spotkaniu uczestniczyli także aktorzy głównych ról, aktorzy wywodzący się z Lublina — Teresa Wińska i Lech Skolimowski.

**W DOMU KULTURY KOLEJARZA** odbył się przegląd teatrów amatorskich.

### BIAŁYSTOK

**W NOWO OTWARTYM** Powiatowym Domu Kultury w Siemiatyczach czynna była w marcu wystawa indywidualna artysty plastyka Jana Harytona. Artysta pokazał około 150 prac wykonanych techniką olejną, akwareli oraz rysunków. Wystawę zwiedziła młodzież szkół siemiatyckich i z pobliskich wsi. Mimo trudnych warunków atmosferycznych i dużego śniegu, organizowano dojazdy grup na wystawę nawet z dalszych miejscowości, niernadko saniami. Przyjeżdżały także wycieczki pozaskolne. Prace Harytona zobaczy też mieszkańcy Białegostoku już 15 kwietnia w wystawie w Muzeum Ruchu Rewolucyjnego.

**W BIAŁYMSTOKU** ODBYŁ SIĘ PRZEGLĄD najlepszych amatorskich zespołów teatralnych spośród ponad 190 zgłoszonych do Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich, organizowanego w ramach obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego i XX-lecia PRL. Pierwsze miejsce i nagrodę 7000 zł zdobył zespół Domu Nauczycielskiego z Hajnówki, który wystawił sztukę „Kłucze od Krzysztofa Gruszczyńskiego”. Zespół ten będzie reprezentować województwo na przeglądzie ogólnopolskim. Jedno z czołowych miejsc zajął zespół ze wsi Krzywe w pow. Białski Podlaski. Jest to pierwszy zespół wiejski, który równorzędnie rywalizuje z zespołami o lepszych warunkach pracy i większych tradycjach artystycznych.

Unia